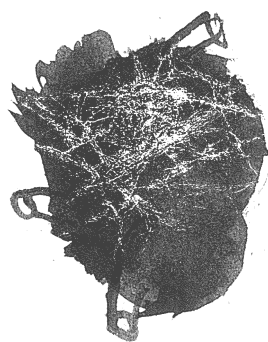


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.





zbigńiew
joachimiań

migotania
przejaśnienia
czerwone tunele

wybór wierszy
dokonany przez autora i ludwikę topp

Tower Press,
Gdańsk 2002



Opracowanie graficzne
Tomasz Bogusławski

Redakcja
Sonia Cynke

Korekta
Zespół

Druk
Drukarnia „STELLA MARIS”
80-822 Gdańsk, ul. Rzeźnicka 54/56
tel. 769 45 54. fax 769 45 04
tel. 769 45 57 – 59

© Copyright by Zbigniew Joachimiak & Tower Press, Gdańsk 2002

ISBN 83-87342-43-2



Tower Press, Gdańsk 2002

Modlitwa ze Zbyszkiem

1.

Jest wielu Joachimiaków. Jest Joachimiak bardzo mi bliski, kiedy pisze o śmierci (którą oswoiłem) lub o Gdańsku („Ta kobieta ma na imię Gdańsk” – wychodzi na to, Zbyszku, że pożera nas ta sama kobieta). Ale jest też Joachimiak jakby trochę dalszy, na przykład kiedy pisze o Bogu (którego przecież nie ma) lub o kobietach (których nie rozumiem i których panicznie się boję).

Ale mimo tej swojej wielości tak naprawdę Zbigniew Joachimiak jest jeden. Człowiek osobny, chodzący tylko własnymi ścieżkami, i twórca – nie waham się powiedzieć – fascynujący.

2.

Joachimiakowi poecie towarzyszę praktycznie od zawsze. Bowiem poznaliśmy się jeszcze przed debiutem (jego i moim). I od zawsze też nasze wzajemne stosunki były dość szczególne. Falowały. Od fascynacji ku irytacji. Od bliskości ku oddaleniu. Od akceptacji ku odrzuceniu. I – przeważnie – z powrotem. Ale, co ciekawe, nigdy w tych naszych stosunkach wzajemnych nie było obojętności. Zawsze było gorąco.

3.

Zbigniew Joachimiak od samego początku, od pierwszych wierszy z początków lat siedemdziesiątych, był poetą osobnym, wyraźnym i innym od nas – swoich rówieśników. Kompletnie ignorował literackie mody i pokoleniowe fascynacje. Wydaje mi się, że było tak przede wszystkim dlatego, iż nie istniała dla niego wyrazista granica między życiem a poezją. Jego wiersze pulsowały życiem, a jego życie toczyło się wyraźnym rytmem wiersza.

4.

Kiedyś, kiedy byliśmy jeszcze młodzi, zbuntowani i pełni wiary, że poezja zbawia, często kłóciliśmy się o to, czym ta poezja jest i czym być powinna. Zbyszek Joachimiak niezwykle ostentacyjnie odżegnywał się od tego, co dość nieszczęśliwie nazywano wówczas „poezią społeczną” lub „poezią polityczną”. Natomiast ja byłem święcie przekonany, że świadome odci-

nanie się od problemów społecznych to objaw najzwyczajszego
pięknoduchostwa, sztuczne odcinanie się od rzeczywistości, w której
przyszło nam żyć. Mnie nie interesuje polityka i socjologia w sztuce –
twardo twierdził Zbyszek. A ja myślałem – idiota, jak można ograniczać się
do opisywania tylko jednego wycinka naszego życia.

A jednak to on, a nie ja, napisał jeden z najwspanialszych, najleś-
niejszych wierszy „społecznych” lat siedemdziesiątych – „Atletom
polskim”:

jeżeli kogoś obchodzi

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy*

*jeżeli kogoś obchodzi historia ludzi
o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wróćą do domu gdy nie będzie już dnia*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy*

*szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć
by zdążyć na pociąg do pracy*

*jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie (kropka)*

5.

Ale poezja Zbyszka Joachimiaka to nie tylko rytm, myśl i – jakże typowa dla artystów – niekonsekwencja. To także odwaga, która niejednokrotnie mnie zdumiewała. Odwaga twórcy, który potrafi podejmować trudne tematy. Odwaga cywilna – nigdy nie zapomnę tego, że Zbyszek był jednym z pierwszych gdańskich twórców, który zjawił się w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku.

Ale to także odwaga zupełnie innego rodzaju. Oto w roku 1983 ukazał się jeden z najniezwyklejszych tomów poetyckich ostatnich dziesięcioleci – „Pełni róż obłędu”. Gdyby to był tylko wspólny tom dwojga poetów – Anny

Czekanowicz i Zbigniewa Joachimiaka – nie byłoby w tym fakcie wydawniczym nic szczególnego, takich książek trochę już było.

I rozpatrywałbym go tylko w kategoriach lepszej lub gorszej książki. Ale bezprecedensowość tego tomu polegała na tym, że wiersze w nim zgromadzone nie są podpisane! I tak do końca nie wiadomo, które z nich napisała Czekanowicz, a które Joachimiak.

A przecież być artystą, to być egotykiem, indywiduum. To chcieć, a właściwie musieć, podpisać każdy utwór swoim imieniem i nazwiskiem. Myślę, że takie odindywidualizowanie swoich utworów, to nie tylko kaprys, to przede wszystkim odwaga.

6.

Kiedy dziś czytam wiersze Zbyszka, co chwila przecieram oczy ze zdumienia. Przez całe nieomal życie spieraliśmy się, dokonywaliśmy odmiennych wyborów artystycznych i życiowych. Czyli, tak na zdrowy rozum, powinienem te wiersze czytać z czymś w rodzaju chłodnej obojętności.

A tak nie jest. Nie da się ukryć, że te wiersze wciągają mnie, fascynują.

I, co więcej, te Zbyszkowe wiersze coraz bardziej, nieomal z wersu na wers, stają się także moimi wierszami.

Fascynuje nas tajemnica tego samego miasta. Razem, ramię w ramię, depczemy te same bruki w beznadziejnym poszukiwaniu odpowiedzi na podstawowe pytania. Podniecają nas te same – czy może bezpieczniej byłoby powiedzieć „podobne” – kobiety. A i nocą budzimy się obaj zlni potem z powodu tych samych strachów – czasami to będzie tylko nagłe skrzypnięcie podłogi w przedpokoju, a czasem strach przed ostatecznością, przed śmiercią.

I tylko czasem w tę moją lekturę wbija się mały kolec. Jakaś zadra, która zawsze – myślę – towarzyszy czytaniu wierszy ludzi nam w jakiś sposób bliskich. Nagła, jak olśnienie, myśl – „Jezu, jak on to zrobił! Że też mnie się tak nie udało”.

Ale to na szczęście szybko mija. Mija, bowiem wierszy nie czyta się zazdrością. Wiersz czyta się, powinno się czytać, pytaniem, zachwytem i prze-rażeniem. Jak modlitwę przed śmiercią.

7.

Jest takie pytanie, które pada zawsze, kiedy mamy do czynienia z wyborem wierszy z blisko trzydziestu lat. Brzmi ono – na ile przez te lata, przez te wiersze, zmienił się ich autor. Jak na to pytanie odpowiedzieć?

Zmiana zewnętrzna rzuca się w oczy. Nie ma już między nami niedojadającego, hipisującego Zbyszka ze zmierzwioną brodą i w

wytartych džinsach. Tamten człowiek co najwyżej kołacze się gdzieś w zakamarkach naszej pamięci, wychyla się ze starych, pożółkłych fotografii (p r z e w a ż n i e

robionych przez Janka Ledóchowskiego). Zastąpił go elegancki, starannie ostrzyżony mężczyzna.

Ale to tylko kostium, to tylko zewnątrz. A na ile zmienił się Zbyszek jako poeta, jako człowiek? Otóż – i to jest chyba najbardziej krzepiące – nic się nie zmienił. Oczywiście dojrzał, ale wszak wszyscy dojrzewamy, to banał. Zbyszek, mimo że zamienił džinsowy strój na dobrze skrojone marynarki, pozostał tak naprawdę tym samym człowiekiem, tym samym poetą. Pełnym niepokoju i nieustannych zdziwień. Podążającym przez życie – i przez kartki papieru – niezwykle swoistymi meandrami tropów i skojarzeń. Wciąż stawiającym zasadnicze pytania. Te, na które tak naprawdę nigdy nie uzyskamy odpowiedzi.

Chyba że Zbyszek ma rację i rzeczywiście istnieje Bóg. A więc ten, który jest naszą jedyną szansą. Który jest odpowiedzią.

Antoni Pawlak



Okazja do pytania

Czarny człowiek
na czarnym bicyklu
w czarnej nocy

to okazja do pytania

przed sobą cienka struna
nieustannie gra
tyś muzykiem

grasz

noc to czarna substancja
która się nadziewa
na srebrną strunę

stanąłeś

noc to czarna substancja
która zalewa wszystko
co jest milczeniem

człowiek na bicyklu
boi się ciemności

ruszył pędem
coraz szybciej
ucieka

kroi noc

to okazja do pytania

tak dobrze
jest brak końca i bezkońca
kołysze
chce się dalej być

więc dalej równo
to warunek by był spokój
prosto przed siebie
wzrok tępy
nie myśl że się ruszasz

graj

człowiek na czarnym bicyklu
w czerni nocy

to dowód że przepływa obok
bóg i jego pies nieskończoność



Wieczne amazonki
(1976)

Tancerka

już maki zakwitły i obróciły się w perz
już młode drzewa tworzą bór
już dawne pieśni zaginęły wśród nowych
a
na wciąż młodym tańcowisku tancerka
gołymi stopami
rytm wystukuje
o twardy mur
widzów
co stanęli rzędem wokół i brukiem
głów ustanawiają
lincz
spazmatycznemu ciału
liniom nóg i rąk
węzłom żył
stopom stwardniałym na prochu
tych
co setki lat temu przy widowisku
usnęli
na starym tańcowisku wciąż ta sama
tancerka – nie wyrosnięte nigdy
dziecko
z półuśmiechem na ustach
z zapomnianą przeszłością
w oczach
pląsa
a ciało pomięte w sinym
już konaniu
obok niej walczy i
o mokrej studni
marzy
i nie wiadomo już
czy wijące się chude ramiona
w poddaniu oczu są

czy też niebieskich ust skrzywieniu
i czy jest tu tancerka
czy tylko jej w pyle zbudzone
wspomnienie

już jesień zbieła
w nowych korytach stare rzeki płyną
już najstarsi ludzie nie wiedzą jak tańczyć
spróchniałe ich pieśni

a

na tym samym tańcowisku tancerka
błada gołymi stopami
wystukuje rytm
o twardy mur
tych co
zapomnieli...

.....
.....

Siedmioletnia matka

jeszcze nie przyszła godzina rozliczeń
i jeszcze ciało myśli nie słucha
a już bezpierzśna siedmioletnia
dziewczynka przed łonem
swoim klęka i cudzego
ze swojego pulsu
nasłuchuje

jeszcze nie przyszła godzina zrozumień
i myśl jeszcze ciała nie rozumie a już
ostropierzśna siedemnastoletnia
dziewczyna przed mężczyzną
klęka i swojego w obcym
ciała oczekuje

jeszcze nie przyszła godzina uśmierceń
i ciało z myślą o jednię swą walczą i
już ciepłopierzśna dwudziestosiedmioletnia
kobieta rozumie że umiera
w cudzym ze swojego
narodzenia

i brzuch obserwuje

Opowieść

chodziłem do niej po grzech. Kupiła łóżko szerokie jak trzy tapczany. Zmieniała pościel trzy razy dziennie. Do kąpieli dodawała wonne olejki. Była raz różą, raz suką, raz cierpieniem. Potem już zawsze kobietą.

Przed grzechem po kilka godzin modliła się przed obrazkiem. Płakała wówczas. Ludzie w tym czasie zachowywali się ciszej. Po pewnym okresie ja również zacząłem z nią klękać. Myślałem wtedy o matce. Tak trwało do późnego zmierzchu.

Potem pytała czy jestem głodny. Byłem zawsze. Wyjmowała tajemne zapasy. Stawiała przede mną i długo spoglądała jak dokładnie miażdżę jedzenie w ustach. Raz powiedziała, że śmiesznie wyglądam z wypchanymi policzkami.

Gdy robiło się jasno prosiła, nie wyjeżdżaj natychmiast. Zaśnij. Słuchałem jak cichutko pochrapywała. Wtedy jej matka robiła mi kazanie. Obiecywałem, że nie zrobię jej dziecku krzywdy. Wysuwałem się delikatnie z łóżka i po paru minutach byłem gotowy do wyjazdu.

Budziła się. Ja tłumaczyłem, że muszę: Nie, nic nie mówiła. Powiedziałem, że rozmawiałem z matką. Patrzała na portret osłonięty czarną opaską i nie mówiła do widzenia.

– Może ją znałeś. Mieszkała tu niedaleko.

Uśmiech

moi mężczyźni już dawno przyszli i odeszli
poznałam już wszystkie rozkosze życia
i niestraszne są dla mnie rozstania

posiadłam już wiedzę o sobie
znam próchno moich zmarszczek choć mam
gładką i żywą skórę

nie boję się dni które przyjdą i tych które
już nie przyjdą; uśmiech na mojej twarzy nie ma
nic wspólnego z moimi myślami

tajemnica mojego uśmiechu jest tworem
mężczyzn którzy przechodzą koło mojego obrazu
i podejrzewają mnie o wieczność

nie wiem czy mają słuszność – muszę wykonać
jeszcze setki tysięcy węzełków
moimi wytartymi drutami

by zdążyć na chwilę w której swetry
przeze mnie zrobione
okażą się już na pewno zbędne

Neofitka

I nawet najdłuższe włosy lśniące i gęste
nie zakryją
czerni twarzy czarnej neofitki
co z bożego ciała
ranę swoją
bierze

I dłonie najdłuższe i miedzianopalce
nie uduszą
błękitu rozedrganej szyi
co z jęku rozbitego krzyża
ciernie pętli
plecie

I nawet brzuch jak kamienny ołtarz
nie kryje
rozpaczy samotnej materii sukienki
co ze śpiewu ptaka w norze zamkniętego
pieśni swoje tworzy
i pieśniami się tymi
udręcza

Für Christine Gorek in DDR

Czy słyszysz jak śpiewa wieczny
słowik Keatsa?

- Po drodze pędzą złotowłosi jeźdźcy,
pościg goni czarną noc pamięci.
Konie z pianą w chrapach
niosą słowa dziecka.
- Czarna Moabitka pieści w siodle syna.
Syn czerwone pije wino.
Czerwone wino płynie w żyłach
żywiąc stare pieśni.

Czy słyszysz jak woła
śpiewak Owidiusza?

- W wielkim niepokoju płynie stare źródło.
Rudy jeździec przed młodszą składa ukłon.
Pamięć bierze w darze miecze.
Ptak zawisł w powietrzu.
- Tętent oskrzydłych karych
niesie wieść o dziecku.
Pościg trwa w przestrzeni.
W czasie kona słowik.

Czy słyszysz jak Szekspir
przywołuje ptaka?

- Rudzi wojownicy do zamków swych śpieszą.
Historia umiera. Czarna Moabitka
dziecko swoje czesze. Witac będzie siebie.
Słyszać coraz lepiej. Serce coraz cichsze.
- Sen minął. Złotowłosi w kasztelach.
Noc w poranek przeszła. Coraz lepiej
słyszać pieśń chorego Keatsa.
Poeta umiera. Ptak wciąż pozostaje.

Christine – słyszysz – ptak ten zawsze śpiewa.

Wielka artystka płacze między koncertami

ucisz się pani
z wielkiego świata w zacisznego pokoju zagnana kąta
z rąk zdejmij ciężkie pierścienie
i dłoni zaciśnięte pąki nie wtulaj w oczy
wzywając na pewno twój
zostawiony w domu
dalekim
posag
wiano piersi
dar łona i ud
spokój pulsującego brzucha
i ramion zaplecionych mur
żonę w sobie matkę w dziecku żeński trud
o ucisz się pani i zgaś płacz
ustami wydętymi uporem
prostymi plecami
i znów
skacz
w swój ułudny
a twardy jak bruk
świat gdzie nie znajdziesz żeńskiego
kąta z poduszką miękką i moką chustką
gdzie gwar ucicha w sali wielkiej sali gdy wchodzisz
ty wielka dama i wygłaszasz wielki recitativ
TO JA TO JA TO JA TO JA TO JA TO JA
po raz ostatni tam idź i
zgaś ten szloch
z tego kąta gdzieś
jak dziewczynka
usnęła

Droga do nieba Pomywaczki okien seminarium biskupiego w Oliwie

stała w otwartym oknie
trzymając w zaciśniętej dłoni transparent
który fugą szeroką rozwinął się na niebieskawym niebie
A na transparencie rozpiął się głos pana boga

Zawtórowali mu aniołowie i w szatach
długich opięli okno
Pańskiej Pomywaczki

– okna swoje myj długo.
Powiedzieli Anieli po kolei,
– okna myj w spokoju i ku jasności chwały.
Rozkazali.

Ona rozkazu posłuchała.

Niżej na chodniku przeszedł zamyślonym krokiem szept.

Wiatr westchnął.
Anieli po kolei zasnęli.

Wtedy flaga w dłoniach zafalowała,
zakotywał się we framugach dzień,
ręka z niebieskim sztandarem uniosła się wyżej i wyżej.
Postać pomywaczki na parapecie chwilę zawisła
dzwony w katedrze ruszyły się powoli
lecz czar ciszy nie prysnął,
jęknął tylko zaczajony w pobliskiej bramie cień.

Dopiero po chwili zabrzmiały dzwony.

Obudzili się wówczas Anieli po kolei,
stanęli sznurem,
murem wejście zasłonili.

W Biskupim Seminarium
puste okno w pustych framugach
pokołysało się jeszcze chwilę.
W odbiciu szyb zamajaczyła jeszcze przerażona
twarz dziwnego, zapóźnionego przechodnia
i upał letni zasnuł wszystko.

W czystym szkle czerwone słońce się iskrzy.

Może miała szarą sierść

dzisiaj na pobliskiej ulicy przeszła obok
mnie ONA

przeszła obok mnie ONA. Jak to było, gdzie to było,
czy we śnie?

jak to było, gdzie to było, czy we śnie? Nie wie
tego dobrze nikt.

nie wie tego dobrze nikt. Czy to była dama czarna
a może miała szarą sierść?

czy to była czarna dama, a może miała szarą
sierść? A w ręce może miała miecz?

a w ręce może miała miecz? Może przeszła obok a
może poprzez mnie?

może przeszła obok a może poprzez mnie? Był już
zmierzch i gęstniał mrok.

był już zmierzch i gęstniał mrok gdy ulica zamknęła
oczy

zamknęła oczy i szmer lub huk kazał
otworzyć je znów.

szmer lub huk kazał otworzyć je znów. Czy pozostała
woń i ruch?

czy pozostała woń i ruch? Czy jakieś ślady
wielkiego rumaka lub świerszcza?

czy parowało igliwie? Czy wydawało się dziwniej?
Czy czerwona rękawiczka na ulicy została?

Nie wie nikt.

nie wie nikt, czy na ulicy się coś działo i czy
przechodził tędy ktoś?

czy był herolda krzyk lub suchy skrzyp?

Nie wie nikt. Czy była powolna czy śpieszna?

Nie wie nikt.

może wie tylko, może wie tylko... ONA

a usta miała otwarte

przyszła
jeszcze nie wiadomo skąd
przyszła do mnie
Biała
a miała twarz ryby
i w ręku ostry miecz
otwarte usta
w nieomówionej przepowiedni

nie wiadomo po co
przeszła obok mnie
i przyniosła wielką
wodę

nie wiadomo...
– przecież ja to wiem

a nie była nawet szelestem
Biała
i tak sennie przepłynął ocean

przecięty ostrą skrzela

mają głos budzący niepokój

Annie Cz.

nie jestem Amazonką i mam dwie ładne piersi
moje biodra nie są gorsze niż kobiety o którą jestem zazdrosna

mój pokój jest pełen poduszek
i lubię czystość w kuchni
nie znam się na polityce
a jednak

przychodzą do mnie nocą mają głos budzący
niepokój śmiało
przerywają mi sen nie są
to istoty prawdziwe a moje najprawdziwsze
sny zakłócają w chwilach największego
zmęczenia

kładą się na haftowanej poduszce z niebieskiego jedwabiu
z jednej strony i drugiej
szepcząc: Amazonko, Amazonko pierś utnij. Zawadzać
będzie ci w walce nieskończenie
długiej jak dziecko na ramionach.
Daleka droga cię czeka
Waleczna, Waleczna trzymaj tarczę
w pogotowiu.

nie są to istoty w całej pewności prawdziwe
i dałabym sobie temu spokój ale
nie jestem Amazonką
i dręczy mnie ten nieład burzący logikę
mojego domu

Elżbiecie Straszyńskiej
zmarłej 19 stycznia 1796 roku

Pędzą sanie w śnieżnym szale,
w saniach w woalach owinięta szczelnie pędzi dama.
Na kolanach trzyma dłoń
– dłoń chora,
ciężko chrypią płuca.

Płozy tną głuchą, mroźną biel.
Ona w kryształe zastygła nieporuszona.
Drugą ręką trzyma pęknięcia na skroniach,
– skronie schowane,
skrusza się skóra.

Dal pęcznieje, biel się wybrzusza,
dama pogania karły, włosy lodem lśnią,
trzeszczą sanie, pędzą sanie.
Spod płóz iskrzy żwir.
Przez siódmą już górę biegną karły
– nozdrza pękają, śmiertelnie już sapią.

Dama rzuca pierwszy woal – jest znów śnieg.
Dama rzuca drugi woal – jest znów śnieg.
Dama rzuca trzeci woal – prześwituje błoto.
Sanie stają.

.....

Z sani wypada starucha.



mam do powiedzenia
(1978)

fragment zidentyfikowanego rękopisu

Marianna B. jest
kobietą o niebieskich oczach
kobietą ze szczególnym upodobaniem do morskich kąpiel

wstaje rano obmywa twarz chłodną wodą
odgarnia wodorosty
naniesione nocną falą

wstawała o brzasku bo była związana z dniem
przydawał jej urody mężczyzna
ze skurczem na twarzy

jedynym dowodem jej piękna było
wieczne pióro trochę pęknięte
w miejscu gdzie zaciskały się palce napisu

mam do powiedzenia (I)

mam do powiedzenia stół
moje usta przelewają się w stół

mam do powiedzenia moje usta przelewają się w stół
moje usta przelewają się w ciasną obręcz

mam do powiedzenia rzeka
moje usta przelewają się w rzekę usta
płyną do powiedzenia rzeka

mam do powiedzenia wieczność
moje usta pękają bez końca
otwarte zamknięte nie mają początku

mam do powiedzenia słowo usta stół rzeka przelewają
obrożę otwarte okno nie ma ust ust ust

(do powiedzenia nie mają)

jeżeli mówić o ciszy
to bić dzwonami
i tak będzie to szeptem

jeżeli już ciszą powiedzieć
to i tak nie dosłyszysz
choć będziemy subtelni

jeżeli mówić o ciszy
to cieszyć się warto że wiemy
jeżeli już wiemy nie milczmy
i tak to będzie za głośno

1973

Marianna B. prosi o wysłuchanie

moje imię i nazwisko Marianna B.
napisano o mnie że pochodzę z dnia
i że tylko światło dzienne ukazuje moją urodę
dlaczego więc w środku nocy proszę
o wysłuchanie mojej litanii?

– niech Marianna B. będzie senna
niech słowo o Mariannie B. stanie się słupem ognia
niech powiedziane uśnie a we śnie niech będzie dzień
słowo niech przewrócone będzie i postawiony będzie
kamień na kamieniu niech słowo wypisane będzie
trwałe i nieczytelne
pokolenia z kości niech kośćmi uderzają o kamień
niech dzwonią...
a spiże niech nie przebudzą poza sen
niech pęknie kielich i fałszy w przestrach
wprowadzą słupy ognia
niech Marianna B. urwie sznury
gdyby nawet wyrwać miała ramiona z wątlých stawów
niech krzykiem
niech szeptem
za wszelką cenę
niech Marianna B. nie męczy się nocą
przed wypowiedzeniem pierwszego słowa

pytanie prorokom

Nie mogąc na tej ziemi osiąść bez pomocy
żółwi,
korzeniami wrosnąć bez natchnienia ziemi,
kalecząc wszystkie progi
pytam:

czy jest w ekonomii politycznej świata
miejsce na mały choćby program Boga?

Czy jest w tym chaosie rzeczy samych w sobie,
w jadłodajniach głodnych,
w pustelniach jałowych,
w kościołach bezbożnych
miejsce na polityczną, antynarodową próżnię?

W kręgu rzeczy nowych I dolów I doli
w pragmatyce dnia i nocy,
w znoju szarych,
sosie kolorowych, tłustych wodzów świata,
w cesarskim powozie,
czy jest w tym świecie doskonałym
miejsce dla nowego Chrystusa?

1974

czytelnik do Marianny B.

Marianno która nie jesteś
a jesteś napisana

poranna której nie widzę rankiem
a nocą jesteś

w zielonych wodorostach będąca
nie widząca wody

która nie przesypiasz nocy
a wstajesz rześka

bądź choć nie jesteś
słowem choćby w milczeniu
szansą którą nie jesteś
bądź łaskawa niechby językiem
nie milcz

jesteś w słowie
moim słowem
we mnie krzyczysz

która nie jesteś
piszesz moim językiem
więc jestem choć ciebie nie ma
ciebie która nie jesteś
a napisana krzyczysz o mnie

która jesteś jak kłamstwo
które drwi
i jest

może sen

jeżeli trzeba trzy razy cierpliwiej i dzień
w dzień pamiętać że Matka i twój Ojciec przed
tobą muszą i siostra mężatka syna którego
już ochrzciłeś swoim słowem patrzeć musi
z goryczą na twoją cierpliwą niemoc jak tkanka
nieznana na piersi twojego psa pęcznieje
niepotrzebnie i bez sensu a on dyszy coraz
chrapliwiej jakąś melodię twojego wiersza

jeżeli umierać ma człowiek
a rodzić się w jego miejsce poeta

to nie chcę pisać
wierszy

może niech tylko sen mi przyniesie jedną dobrą noc bez
damy czarnej bez damy białej bez ptaka feniksa i bez
czerwonych karłów w purpurowych powozach niech przyjdzie
pierwsza rzecz i niech nie będzie później

może chwilami sen

mam do powiedzenia (IV)

mówię nocą słowo słońce
słowo staje się nocą
aż
do dalekiego wschodu
potem się wyjaśnia

modlitwa

Joli Rajz

bądź łaskaw
bądź łaskaw dla miłości własnej
i miłosny dla łaskawości własnej
i sobie bądź wierny wierny bądź
łaskawy najmiłośniej
miłuj swą wiarę w łaskawość
miłuj siebie w woli pełnej
w miłości wiary doświadczaj
doświadczenia łaski w miłości
i bądź pełen
i bądź pełen
i bądź pełen
i bądź syty

aż przyjdzie czarny głodny wilk

anonimowy czytelnik radzi autorowi

nie pisz więcej o kobiecie którą wymyśliłeś
nie zajmuj się słowem które nie ma rzeczy
bądź wierny prawdzie a prawdy szukaj w sobie
słowo zbądź lekko weź w ręce przedmiot
on waży w twoich rękach niepodatny na sen nocy
Mariannę B. przekreśl zdecydowanym pociągnięciem pióra
Marianna B. to twój grzech
ona nie jest przedmiotem twojego wiersza a tylko
podmiotem którego nie dotkniesz który tylko
może usłyszysz jak dźwięk wyrwany z utworu muzycznego
zaprowadzi się na koniec twojego własnego wiersza
ona zamknie ci usta uszy twoje zatka oczy przysłoni
Marianna B. zabije cię jeśli ją ożywisz
ona cię udusi jeśli ją ożywisz
ona będzie twoją śmiercią

jeśli na pewno nie ty jesteś Marianną B.

drzewo szalone

jestem drzewo szalone płynię we mnie wpław
powolność w ogromność

jestem drzewo rozpaczy mieszkają we mnie ptaki
beztroskie ja w ziemi

jestem potężny pień wyrastają ze mnie gałęzie
wiotkie w niebo i śmierć

jestem odbity w pękniętym lustrze sen pod niebem
i ziemią się gnę między pniem

jestem drzewo rozpaczy pękam od rozpierającej mnie
mocy od pierwszego dnia między umarłymi

dąb

Mam na imię dąb. Powiadają, że nie ma we mnie pokory.
Że jestem mocarz i nie łamie mnie wiatr. Że pięści
zaciskam, gdy burza się sroży.

Powiadają, że jestem twardy „jak dąb”. Że przeżyję tysiące
lat i hardość moja nie zmięknie; Że poeta, który
przytuli mój pień, śni o potędze.

Jestem królem wśród drzew, co umierają przede mną i
przede mną się gną. Jestem królem dawno spróchniałych
brzóz i olch... W gałęziach moich płynie proch gibkich
wierzb i smukłość topoli... Jam sokół jak... sęp.
Potęga moja – innych śmierć.

trzy strofki o ogrodniku

Matce

Ogrodnik przy ziemi chodzi.
Ogrodnik rodzi kwiaty. Kwiaty umierają.
Ogrodnik nadal żyje.

Ogrodnik kocha nasturcje.
Nasturcje nie kochają ogrodnika. Kochają ziemię.
Ziemia nie umiera.

Ziemia urodziła ogrodnika.
Nasturcje urodziły ogrodnika. Ogrodnik umarł.
Ziemia ogłuchła.

gdzie tylko cisza jest

źródło u boku wylewa wodę
źródło u boku się lustrzy
a to drzewo szalone
wciąż do góry
wciąż do góry
się wznosi
gdzie tylko
gdzie tylko
cisza
jest
i gdzie pęka
granatem szelest
zwiędłego liścia i szmer oddechu nie
może się wyżej wznieść
gdzie tylko
gdzie tylko
jest wczorajszy
szept

1976

nie ma upiorów na słonecznych rozstajach

na tych rozstajach gdzie żniwa żenią się z sierpniem
nie ma czarownic nie ma wielgachnych strzyg
na zmęczonym kogucie jedzie czarny plew
patrzają ludzie strachów znad rzęs
nie ma czarownic i diabłów
jest głuchy indor wśród
zwiędłych drzew
i zły
sen
skrobie do dłoni
deszcze słony znad powiek
stanął zdumiony bezstrachem wiatr
nie ma mar nie ma ducha co chucha
na skwar rozstajnych dróg gdzie dziewa Deszcz
rozstawia bezzębny pysk i czeka na ruch
nie ma na miotle Złej
nie ma wampira
jest dzień
dyń
co dzwoni
co nie dzwoni żonie
sierpnia jest może ogromny wiatr
na rozstajach w południe i dziwożony
jest może straszny stwór i czar i dziwo i biała śmierć
lecz nie tu na żniwnych rozstajach
może jest w słońcu
może jest
Tam

król zbóż

na drabiniastej karecie
na szkarłacie i szynszylach
dwa woły mając za przewodników
w bezgwiezdny ocean zbóż
jedzie król
wioząc wóz pełen
spopielącej ziemi

król zbóż w zoranej dłoni
lejce trzymając złote
wiedzie bezszelestny
swój orszak
ku zagarniętej
przemocą ciszy

karoca w drzewie rzeźbiona
na niej
król
zgięty w pomiętym kapeluszu
liczy drobne skowronki
milczące w wydartej kieszeni

atletom polskim

jeżeli kogoś obchodzi

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy

jeżeli kogoś obchodzi historia ludzi
o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy

którym wróca do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wróca do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć
by zdążyć na pociąg do pracy

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wróca do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wróca do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie (kropka)

1974

epitafium dla ulicy Polanki nie nazwanej nigdy imieniem Artura Schopenhauera

U wejścia do kraju,
na portierze krainy środka, tuż za zaprzeczeniem
mórz,
za wzgórzami leży ulica - nie nazwana imieniem
filozofa.
To jest ulica.

Na samym początku wyrwany ząb boleje.
Był tam dąb jak dom,
stary spróchniały
– wyrwany ból – zawyła ziemia
– upadał dąb – zawalił dom
Filozof pamiętał go.

A dalej trochę za brukwią rynsztoka
ogród niebotaniczny tam zieleni
trąd rajcuje i pnie się wąż,
a nieboskłonki ku szczytom prawie już

Fryzjer Broniewski na piętrze pierwszym
odrapany napis trzyma: TU
– wyłamane zęby płotu to zielsko tną
– na bacność staje drewniany tłum
– na lewo patrz, na prawo patrz.
Idzie czworobok: buty jak But,
głowy jak Głowa, ruchy jak Ruch.
Idzie zielony tłum.

Naprzeciw dwie głowy łyse
– krata na rzęsie – Dzieci Błędu
– w schronisku – schron w kratkach
a napis brzmi Wzbroniony Wstęp
To ta przecznica, a za nią dzielnica...

Białych Przechodniów z czarnymi plastrami
miodu na oczach

– Słodka, słodka ciemności na tej ulicy
gdzie za wojskiem schronisko dla
popętnionych potomków.
Przechodnie nadzwyczaj cierpliwi – krawężnik
to interesujący próg – więc
laską powoli, powoli i dokładnie
zmierz... a teraz krok, już bliżej

domu filozofa, który wyjechał
w czas
i nie oglądał zamachu na godność ślepców,
na nie wart Nibelungów tryumf.
A dom jest biały od białej brzozy
lat stu i od zielonego stawu gęstego sytością.
Okna szerokie – stąd perspektywa myśli
wzięła wzór.
Widać szpitalne stamtąd znaki.

To następny krok.
Pawilony, pawilony dla tych na wyjściu,
dla tych na przyjsciu, dla tych na zejściu.
Sztab czerwono krzyży ranem wymyka
spod okutych wrót.
Okna adeptów kamienia filozoficznego
w wytrzeszczu: był zgon? był zgon?

W portierze kraju, tuż za pasmem wzgórz
śni się ostatkiem sił ulica,
która się kończy co dziś.
Jeszcze na niej nie wierzy tłum
że tą ulicą – snu snów –
nie przejdzie jutro żaden z nich.
Że czarna gładka powłoka
błota jesienne zamknie
i jeszcze poprawią i ten i obok dom
i filozof umilknie
jak Poeta z Nie Tej Ulicy.

Herbaciany Przechodzień i rozmowa jego z szeptem domu, którego już nie ma

w porannej poświacie u zbiegu
dwu ulic
na przystanku ku górze
na herbacianym czajniku przyjechał
herbaciany przechodzień

u krzyża dwu traktów – żaden
do tamtąd –
siadł na kamieniu, plecy na ścianie
oparł,
na ścianie domu, który wyróżył:

cztery listki zielonej herbaty, dwa
czarnej, zapachu pomarańczy i
na zapach wanilii pół szczypty...
Wypij ten napój i uśnij

gdy się obudzisz nie spotkasz już
nigdy
ptaków i świerszczy z domu który
ci szepcze
o ciszy ulicy i pannie winnej

w porannej poświacie do wieczora
zostałej
zżółkłą aluminiową łyżeczką
herbaciany pozostań
odgarnia natarczywe nektaru pszczoły

zostanie na tej ulicy
nie istniejącego odnośnego punktu
dotąd aż za plecami szept zburzonego
domiska
zmęczy się
i zmilknie

1975

miasto, które milczy chórem

a za

a za szybą – wiadomo – się szkli
a za pędzącym pociągiem
ogień małą kroplą
na marmurze się iskrzy

a za... szybą mknie
biegnący tyłem pies
a psa dogania
uciekający przed nim kot
człowiek na człowieka wchodzi
choć nie są przy sobie
na wyciągnięcie dłoni

jest tłok
jest świt
– choć świt
oko wykol nic się nie wyśni

a za szybą... miasto
a w mieście miasto
które milczy chórem
– milczy bo to cmentarz
Proszę Państwa –
nikt tu się nie myli
nikt tu w pióra nie obrasta
jest ciasno
jest tłok
i pies dogania kota
człowiek z człowiekiem się rozchodzi
trzymając wciąż zimną dłoń sąsiada

a za...
a za ziemią się ckni

i coraz bardziej jaśniej
i pędzi coś
szalenie nie wiadomo gdzie

jest tłok
jest świt
– oko wykol a się nie wyjaśni

a za... miastem
jest miasto które jest za
tysiącem ogni się jarzy
z tysięcy domów
tysiące ludzi wychodzi niezgodnym
chórem
na jednym z domów
zgaszono światło
– bo było to Proszę Państwa
dawno już po zaduszkach

a w mieście miasto które milczy
chórem w mieście miasto które

egzekucja albo druga część obrony niepełnoletniej Sydonii

*I stał się wieczór i zaranek
dzień piąty.
Rzekł też Bóg: Niech zrodzi
ziemia duszę żywiącą według
rodzaju swojego [...]*

Genesis I

Dzień ten nazwano piątkiem.
Dzień pełen gniewu: wilgotnej zamieci
i zaćmionego słońca – którego na niebie –
pokracznym ludzkim kosmosie – w ogóle nie było.

W czas ten na szczytach okolicznych wzgórz
(okolice były pępkiem świata)
nad zachrypniętymi brunatnym kolorem drzewami
unosily się lub raczej błdziły stada zimowych wron,
których hasłem było zakrakanie ziemi.

W czas ten to właśnie
w pępku świata – to jest w okolicach piątku
zwariowała moja błękitna, powłóczysta
Sydonia.

- Dzisiaj dnia okolicznego
ja kobieta bezbłędna
odgaduję sny na rzeczy pamiątkę.
- Ja demon schyłku tygodnia,
przepowiadam zgon kobiety,
która rzemiosłem kata
zbudowała sobie kurhan z kamiennych
głów.

Piątek Wielkiego Postu dnia dzisiejszego
stał się dniem powszechnego obłędu.

Oszaleli wszyscy. Wszystkich
dla utrzymania harmonii w naturze
przekazano do domu
Spokojnego Obłędu.

Pozostali: dziadowie opuszczonych budowli,
strażnicy wejść, kierownicy krzeseł, przodownicy,
kaci i kilka sekretarek.

Ziemię jako centrum i ognisko
pandemii szaleństwa
odcięto od rzeczywistości.

Dzień pozostał piątkiem,
choć wszelkie prognozy przepowiadały
że
stoimy na przełomie, po którym to myśl ludzka
będzie natchniona nowym duchem.

Do zmian jednak nie doszło.

- Choć na wzgórzach rozpalono ogniska
jako znaki rozpoznawcze i jako hasła
trwania redut wiary.
- Choć wycięto w pień wszelkie dęby,
miejsca będące jakoby ogniskami czerwia.
- Choć twarze pomalowano na kolory
dnia narodzin.

Nie mogąc powołać Sądu Najwyższego
- bo jak wiadomo część ludzkości
była zajęta organizacją -
postanowiono (do czasu opracowania nowego
kodeksu pór dni roku) zastosować
środki doraźne:

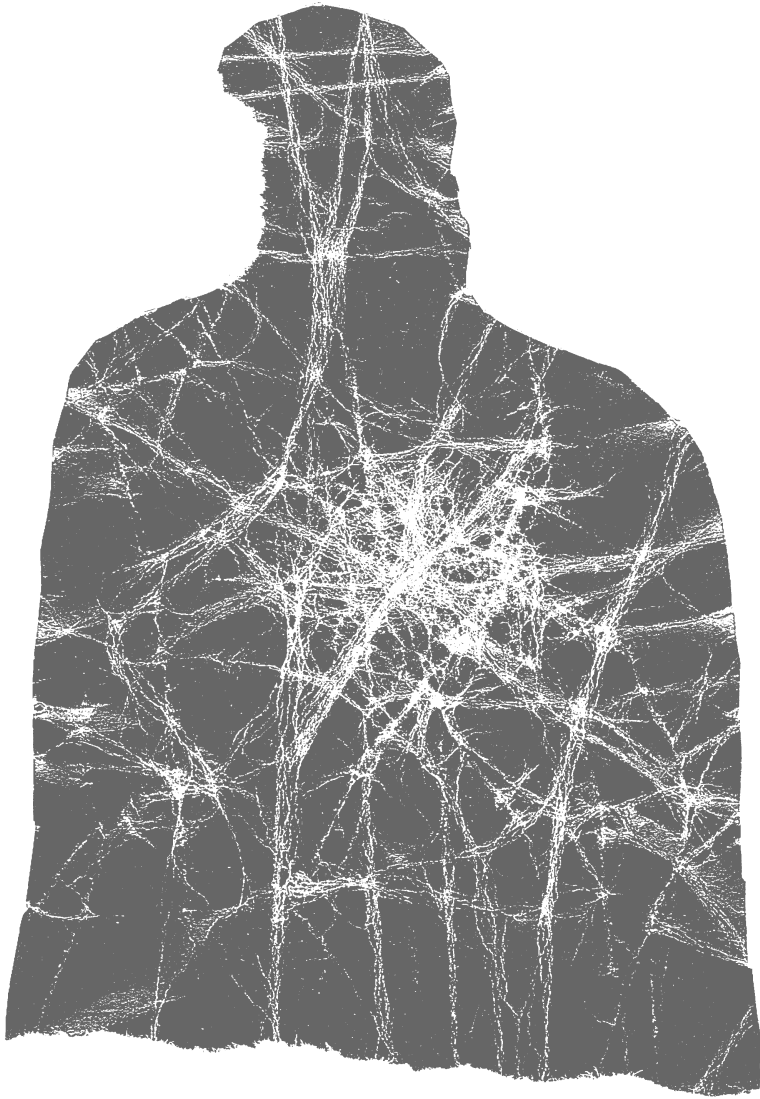
Na placu między wzgórzami,
na przekór wilgoci, ciemnościom i powszechnym
chęciom podpalenia wszystkiego
ustawiono stos,
który
sięgnął nieba.

Na stosie postawiono Sydonię
– czarownicę nie z tej epoki.

Niepełnoletnia kapłanka
po raz ostatni
na przełomie bieli, na krawędzi
środką świata
zapłonęła na wivat dnia,
który nie nadszedł.

Sydonia spełniła swą misję.

1976



pełni róż obłędu
(1983)

15.

już wstaję wstaję już
otwieram drzwi domu
wchodzę w mroczny chłód
i pokonuję lęk i brnę
w ciemne pokoje
poznaję znajome pokoje
zniszczone ściany drząc idę w ciemność
do końca
wyzwołony
i znów zamknięte zastaję drzwi
zwarte w sobie dobrze
zatrzaśnięte
broniące
wejścia
wyjścia

cofam się więc
zacieram ślady
na palcach wracam na opuszkach
kurz /zdradzi i tak poniesioną porażkę/
wracam do
wejścia
wyjścia
przede mną zamknięte drzwi

a wokół mur
zbutwiały szeleści opadającym tynkiem
i cegły przedwieczne chrzęszczą
i sypie się piaskiem czas
we własną klęskę
na dzień klepsydry
dzień zardzewiałych kluczy
otwierających spróchniałe
bezbronnie już
drzwi

16. (dom rodzinny)

jestem tutaj po raz pierwszy

dom ten jest otwarty
otwartego nieba w nim doświadczysz
doświadczenie nie wyjdzie poza nie

jestem tutaj po raz ostatni

zatrzasnęły się za mną drzwi
dom wrósł w ziemię pokornie
i w nim pozostała pokora

to co wczoraj to była choroba
a choroba to przejście w nie

trędowate tunele przestrzeni
dzieli tętniczny czas

a krew w jedną stronę płynie
i wyzwala śmierć co raz
i w piach się zamienia

przysypując zatrzaśnięte drzwi
chowając za sobą
nie istniejące portrety

nie usłyszysz nikt za nimi
tłumionego szeptu:

to ty który się rozsypujesz
w gruz zostawionego w oddali
domu
to tyś otwierające się drzwi

29. (krzyż z piasku)

kto strzeże szalonych
kto strzeże uzdrowionych
na krzyżu ciał
kto strzeże tych co pytać zaprzestali
kto strzeże z miłością sobie w oczy patrzących

stojących po stronie milczenia
po stronie niezagojonych ran
jeszcze z niedomkniętymi ustami
rozdartymi przedostatnim pytaniem

kto połączy w jedno to co dwoje
na wieki wieków w pytaniu zawieszono
kto wstrzyma uzdrowionych
w cudzie ran
kto jeden krzyż na dwoje rozdzieli
i dwa potem krzyże połączy
w jeden
i ukrzyżuje szalonych dwojga
obłąd

temu krzyża nie starczy
i stanie się jamą
próżną
pustą

jak ślad po krzyżu
w piasku

30. (modlitwa II, do Androgyne)

o Androgyne
która ciała miałaś mało
któraś na krzyżu umierała
która nie umiałaś cierpieć

wyleczysz nas z ran

o Androgyne
która za dwoje krzyża uczepiona
któraś w rozpacz w ramiona wzięła boski mirt
która zwałaś się bez imienia

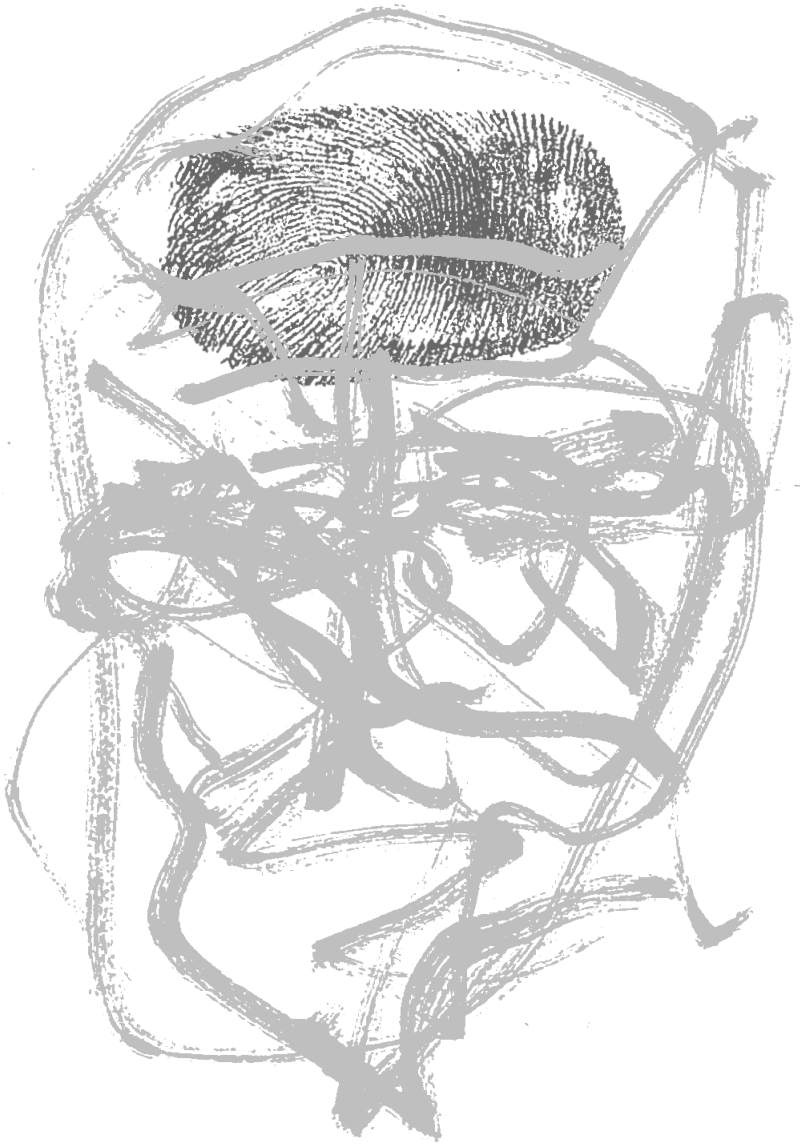
wyleczysz nas z kłamstw

o Androgyne
która samotna i przezroczyista
któraś na surowym drewnie znalazła płeć – śmierć
która umierałaś z nie swojej krwi

ty nas odnajdziesz
ty nas powiedzisz
ty nas okaleczysz
ty nam zdradzisz

tajemnicę
i odpowiedź

i będzie to śmierć – nieśmierć
a my będziemy pomiędzy



ja sobwtór
(1984)

osamotnienie



dla kogo

dla siebie przede wszystkim ale też dla tych
którzy w wierszu być chcą

dla tych więc przede wszystkim którzy są
poza moim pokojem (dla siebie może wystarczy
pomyśleć) i tak samo czuwają jak ja
nawet śniąc

piszę więc dla tych których nie słyszę odcięty
betonowym murem dla tych którzy nie słyszą
pytania dla kogo piszesz nocą
dla kogo i po co

pytam się więc siebie dla kogo męczysz słowo
i myślę nie odpowiem
jeśli nie odpowiedzą mi pytaniem
słowem za słowo

i tak powstaje tekst
nie wiersz
i nie pytanie
słowo tylko po lecz wykropkowane

w słowie stolicy mojej

K. Sz.

wróciłem stamtąd Adamie Mickiewiczu

mżył właśnie drobny deszczyk
cicho było na ulicach
w podziemiach arkad przeszedł ktoś
o znanym mi obliczu

poszedłem tym tropem

na ganku prastarej stolicy
mistycy palili swoje ognie
a straż coraz częściej wołała
w nocną spać ludziska porę

spytałem przechodnia

deszcz dzwonił jesiennie
a miedź cicho drżała
polarna noc wschodziła
w słów pełnej głowie

stróż mosiężnym kopytem zadzwonił

deszcz siąpić zaprzestał
pod arkadami coś zatupotało
ludzie zdmuchnęli świece
słowo pulsem biło w głowie

wróciłem właśnie stamtąd Adamie

śniło mi się pełznięcie
w nieruchomym dzwonie
wschód słońca gasił
szeroko otwarte w ustach
słowo – jeszcze nie czyn –
jak czyn gotowe

1976

osamotnienie

A. Mrozowskiej

nie ma powrotu gdy zejdziesz
do zęb piekieł
nie ma powrotu z dna stromej studni
w której to szczelinie
źrenica nieba faluje

stolica oka
kanał próżny
osamotnienia

jak oceaniczna nieruchoma ryba
stoi a ocean przez nią płynie
wlewając w otwarty pysk bezmiar wód

rybę szczelnie wypełniając milczeniem

i anatemę wyszydzą oświeceni

Krzysztofowi Gąsiorowskiemu

mimo
supersamów świata i pałek
pikiet o stężonych twarzach mknących
pociągów obleżonych twierdz rudobrodych
starców bielejących z dnia na dzień w wolną
zupełnie już biel-śmierć
mimo
krzywd i szyldów i ssących to mleko dzieci
tajemniczych panien i anatem

jest niebo i krew
i Heraklit który szydzi
z wody
jest
jest
dowód a w nim dopiero błysk

a porządek bezceremonialnie
kiedyś swe szyderstwo odkryje
i nie głuchoniemi – prawdy
i nie niewidomi – piękna
i nie kalecy – dobra

ale oświeceni
przyjdą i szyderstwo
przelekną
na niebo i krew
i wodę która z Heraklita

szydzi

nauczony

nauczony na pamięć obrazu nocnego żebraka
stukania kija czerwonych obrzeży powiek
koni pędzących w jesiennej zawierusze
koszy pełnych zwałionych poręczeń

że świat jest rzeczą
że świat jest bogiem
że świat jest zgodą

nauczony nocą pulsujących świateł
jednookich cyklopów ze zwieszonymi rękoma
nauczony ruchu i głosu i szeptu i duszy
zawieszony między nadziejami

że jestem głową
że jestem mową
że jestem dołą

nauczony obrazu stojącego o lasce bogacza
trybunału sędziów w czerwonych togach siedzących
za wciąż tamtym...

nauczony na pamięć swych zwierzeń

że nie tryśnie
że nie runie
że nie pęknie

zwyczajnie
zwyczajnie

modlitwa (III)

Panie Boże Jedyny Mój
który nocą we mnie nie śpisz
w dzień nie wcielaj mnie w tłum

Boże Wielki Wszechmogący
zamykający mi usta gdy kłamię w oczy
zostaw mnie w ludzkim dramacie bez pomocy

Boże Wiekuisty Jedyny
który zbyt lekko zabierasz mi winy
za dnia dotknij mnie piekłem czynu

Boże Jedyny Który Jeśliś Wszystkim
i we mnie zasiałeś ziarno swoje
dlaczego jeden z nas rozdarty choć nas jest dwoje

Boże Jedyny Zawsze Wszechmogący
jeśliś ty jedyny i ja przez ciebie pojedynczy
dlaczego mam wierzyć że nas tłum połączy

Boże Któryś Nad Nami w Niebie
dla ocalenia ludzkości wymyślasz rewolucje
wojnę gwałt na ziemi

Panie Boże Jedyny Mój zaniechaj!
bo nie do ciebie ale do tłumu
szepać będę: tobie powierzam los swój

sięgniesz dna

L.T. i W.Z.

oto czarny promień słońca
oto wkuwa się w ciebie do końca

oto igła nieboskłonu strzelista
przebija powiekę źrenic dna oka blisko

oto ręka drugiego do ciebie wyciągnięta
w ciało twoje przenika oporem nie zgięta

oto dłoń druga pod mózg się wsuwa
bezkarnie duszę od ciała odsuwa

oto tłum się przeciwko tobie jednoczy
tłum solidny silny ma rację bezoczy

oto matka cię w bólu i lęku rodzi
w wysiłku krzyku pocie i krwi odchodzi

oto świat ogarniasz który człowieka przerasta
ogarniasz obejmujesz zabijasz a on znów wzrasta

oto krew w tobie płynie wlewa się w serce bije
wlewa się nadmiar pękają żyły nie żyjesz

oto w rozpaczycie buncie myśl ratunku płodzisz
ona rośnie obejmuje innych a od ciebie odchodzi

oto sięga cię czarny promień słońca
lecz tyś już nie tyś a tylko studnia bez końca

oto krzyk wydajesz z siebie rozpaczycie
ale to już tylko dla ścian twojej piwnicy coś znaczy

pełni róż obłędu

S. Chwinowi

żyjemy w czasach w których oddychanie jest znaczące
kiedy krew w naszych żyłach jest krwią bliźnich
i nasze napięte ramiona noszą ślady bliskich

żyjemy w czasach naszych własnych błędów
w których odnajdujemy szepty dawno zmarłych
obłąkańców którzy przed nami róży obłędu dotykali

i sami jesteśmy szaleńcami
zwijamy się w sobie

pełni obłędu nocą
własnego ciała się bojący

wyciągamy ręce w czerń
która w głębi swej
nas rani...

cofamy je więc ze wstydem
aż do zapominania dotyku
rąk cudzych drwiących z nas
w naszych własnych palcach

1978

kilka spraw do rozwiązania

niezawisłość mędrców i artystów
bezdusznosc historii głuchej na głosy teorii
charyzmę przywódców i tych co wiedzą lepiej
rację tłumu rewolucji tłuszczy i większości

wolność społeczeństwa państw i jednostek
równość dla wszystkich patriotów i kosmopolitów
braterstwo ojców i synów i dwóch racji stanu
egalitaryzm dla biednych i dla tych co nie chcą posiadać

jest kilka spraw które trzeba rozwiązać
nim łaskawa dłoń rewolucji
rozetnie gordyjski węzeł naszych mózgów

góra i pielgrzym

tuż przy raję
lub po prostu obok ogrodu
otoczonego murem
stoję ja góra
zwyczajne wzniesienie tysiąc metrów
nad poziomem morza (nie wiem co to znaczy)
kilkaset tysięcy metrów sześciennych ziemi
a na mnie klęczy pielgrzym
i dręczy mnie
choć gór innych jest wiele tysięcy

cztery nihilistyczne pytania

czym jest gorszy mistyk hiszpański
od rodaka swego śmiałego zdobywcy
odkrywcy nowego – konkwistadora

czym jest gorszy konformista
od swego brata zdecydowanego rewolucjonisty
gdy równie celnie strzelają z rewolweru

czym jest gorszy rządowy przywódca
od swego przeciwnika opozycyjnego brata
gdy obaj racji szukają w tłumie

czym jest gorsza burżuazyjna ewolucja
gdy rewolucja zmienia człowieka
tak że w szczęściu rewolucyjnej ekstazy
nie pamięta nawet imion dawnego nieszczęścia

ja sobowtór dotykam cię cieniu

dotykam ciebie cieniu mój
dotykam obrysowanego światłem
pieszczę ciało w piasku cień
ja dotykam
ja od twojego pierwszego imienia
ja od twojego pierwszego ruchu
to ja się mienię i pieszczę
i głaszczę przekłęty przez ciebie
mój cieniu
ja wychylony zza żarzącego
się lustra
na twoją obecność

obrysowuję cię ja twój sobowtór
zagubiony pomiędzy
przedmiotami

pomiędzy twoimi przyjaciółmi
innymi cieniami
ja twoja granica
ja twój Twój
przeniosę cię przez cierpienia
zniosę twoją samotność i ból
to ja przeżyję ziąb i głód
przeniosę koronę cierniową
w wąskim szpalerze ust
to ja twój świetlisty druh
zapalę lampę żagiew i wschód
i pozostaniesz pomiędzy żywymi

obrysuję cię ja twój sobowtór
coraz bardziej syty
między odbiciami

pomiędzy moimi przyjaciółmi
innymi twoimi imionami

1979

martwa natura (V)

dziadzie który z grubym kijem idziesz
co podpierasz ziemię i siebie
o czym myślisz – o sobie tam w niebie

co ukłujesz kąśliwą swą laską
ślad po śladzie

jak staniesz gdy sękacz idzie
i ciebie ciągnie
w drewniane głębie

przystając na słońcu przy starym parkanie
obrazem będziesz i starym parkanem

a co będzie między

(właśnie...)

a jeśli w obrazie coś się obłuźni i zmąci
i jeśli dziadyga w swe ułomne kości
otrzyma płonącą różę a nie kij

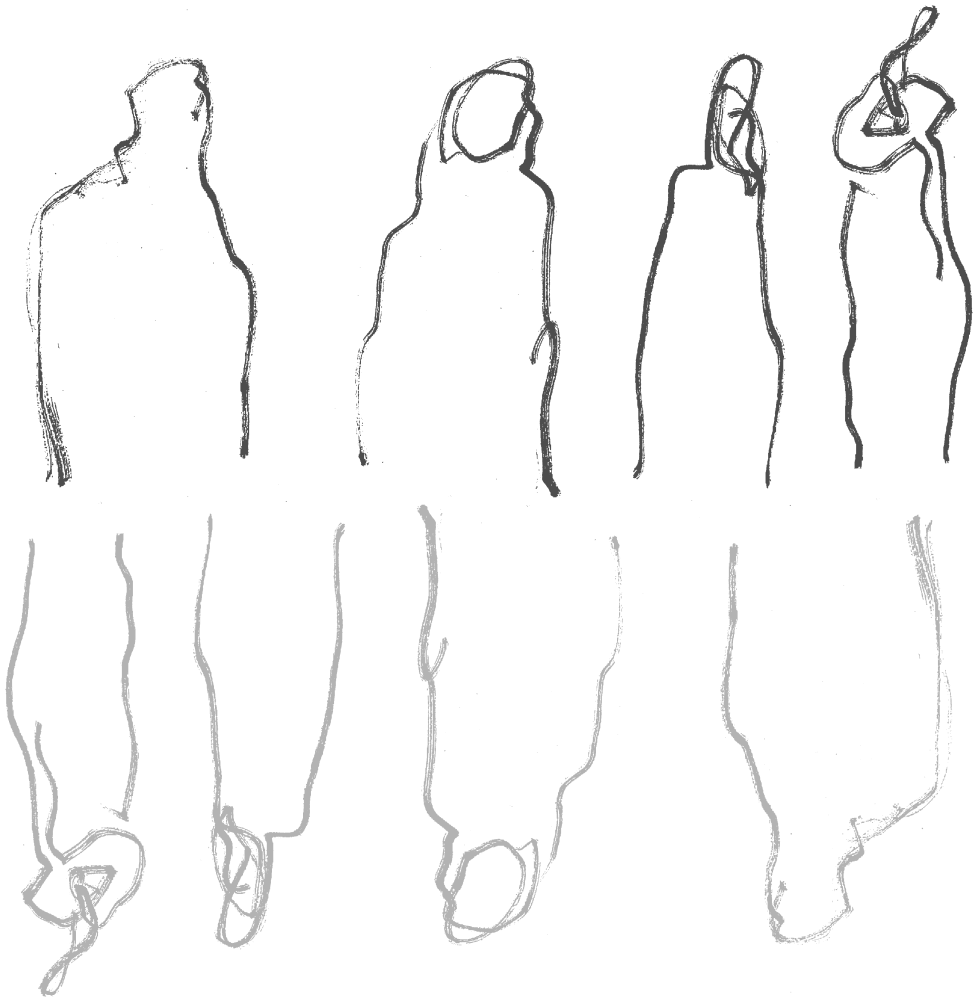
gdy w obrazie ogień wodą chluśnie
i sam sobie zawarczy
i gdy na stos ofiara przyjdzie w czerwonej chuście

a nie kat

czy obraz ściemnieje i zgaśnie
a rama trzaśnie i pęknie
i płótno zwiędnie

a nie kształt

osoby



Jean Genet (wyrzeknij się psa, wilku)

– wyrzeknij się bracie wilku (bracie
który szczerzysz kły) wyrzeknij się
nadziei na moją wielkoduszność
wszak widzisz

– jak w lustrze –
moje zęby są tylko po to by cię
zagryźć

– wyrzeknij się spokojnego domu tam
pod spokojnym drzewem twojej nory
wytropię twoją ciszę i radość twoich szczeniąt
wszak widzisz

– jak w lustrze –
że tropię niezawodnie jak ty gdy skradasz
się do mojego obejścia

– wyrzeknij się psa który w tobie skomle
wykończ starego przewodnika
i przepędź swoją matkę która
zapomina że zabiłem twojego brata
pamiętaj póki moja aorta jest
pełna krwi
twoja może w każdej chwili
się rozlać

– na moją i twoją nieobojętność
wilku...

– wilku mój psie

Keith Jarrett

tylko dlatego że za krótka
tylko dlatego że za krótka klawiatura
mojego fortepianu

tylko dlatego że zabrakło jeszcze
jednego klawisza

tylko dlatego że o parę klawiszy
tylko dlatego że o parę klawiszy
pomylił się konstruktor

dlatego tylko nie zagrałem do końca
koncertu kolońskiego
tylko dlatego że rozpedzone palce wybiegły poza
fortepian
i ostatni akord usłyszeć mógł tylko
Beethoven
dla którego muzyka nie miała już
dźwięku
i była kryształową wiązką
marzenia
sięgającego poza moje i wasze uszy
a jednak żal mi moich dłoni
uparcie uderzających już tylko powietrze
choć tak blisko obok
jeszcze fortepianu

Leonard Cohen

B.S.

Zuzanna nie istnieje
to tylko ja
odwieczny Żyd Tułacz
wędrując po świecie
śpiewam wam
o czasie który nie nadszedł

– bracia moi
którzy umieracie
w miłości i nienawiści

pozostawiając mnie Zuzannie
której nie ma

dotykamy razem rzeki
schnącej w nas
aż do nienawiści
porowatego koryta
milczenia

a Zuzanna? Ona wie
że mogliście kochać bez
nienawiści

Słowacki powiedziałby

ciało mnie cieszy najbardziej
Słowacki powiedziałby światło
które wtłoczył w nas duch świata

a to co nazywamy marzeniem to ból
światła które zastygło na przekór
swojej naturze unoszenia

jesteśmy więc ciałem które się żarzy
niezależnie od naszej woli
będącej tylko świadomością światła

młodzi ciałem unosimy się naturą
starością wspinamy się po gorących stopniach
umarli żyjemy na przepelnionych schodach

ciało mnie cieszy najbardziej
na krawędzi umierania
wtedy jest najbliżej natury

która jak powiedziałby Słowacki
jest najbliżej światła
i choć już płonie

jak mroczna księga
nie gasimy go
bo wiedzie do jasności
do najwyższej instancji

Boga który oddycha w nas
popiół
oddając w nasze ręce

Jean Michel Jarre

W. Zawistowskiemu i jego

Kobiecie Jazzującej

– świat jest jedynie tylko
strumieniem elektronów – tak słyszę
tak słyszę noc i dzień gdy spadają z mojego
orozzonego czoła krople potu

wśród betonowych ścian owiniętych
dźwiękoszczelną szybą pomiędzy dwoma głośnikami
na nowo zupełnie na nowo
z pędzących cząsteczek wschodzi świt

– zobaczysz to w kuleczkach potu spadających
na mój bezduszny moog
ani noc ani dzień ani świt nie jest już
widokiem ani pięknem ani marzeniem

jest wschodem który ożywiony dźwiękiem
utrzymuje mnie w szczelinie
między pamięcią a światem

– sentymentalny zbudowałem sobie maszynę
która zwrócić ma mi utracone światło i ciemność

a ja mam być elektronem
który rozrywa się na tysiąc dźwięków
opryskując was niczym kropla potu

jeśli się nie uchylicie

list Księcia Józefa do Króla Polski
Stanisława Augusta Poniatowskiego
w półtora wieku później pisany
od omawianych wypadków

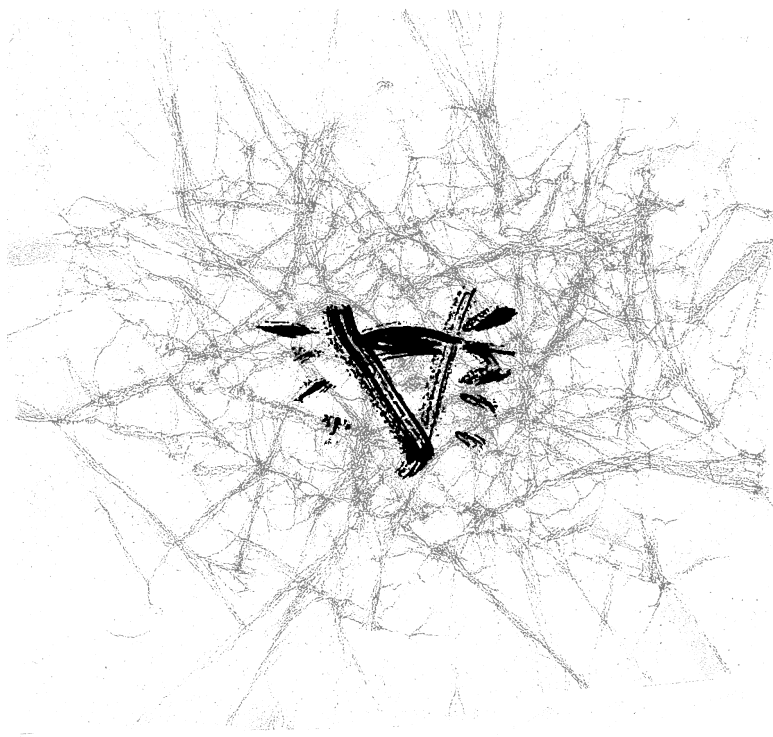
Królu Najjaśniejszy Panie Mój Stanisławie Auguście
Askenazy pisze że walczyłem do ostatniej kropli krwi
Cat-Mackiewicz sugeruje że żywot Twój dla Ocalenia Narodowego
i Twoje uczynki łącznie z abdykacją były walką Twoją do utraty
tchu dla narodu który państwem był bardziej niż narodem

Sprawy wydają się prostsze

Nad Elsterą nie nadstawiałem piersi i kula która mnie przeszła
choć ocaliła mój honor zabrała mi życie I tylko dlatego że już
nie miałem szans się wycofać chciałem po raz ostatni nie
jak wódz ale jak wilk który kąsa psy dotknąć wroga szukając
w nich własnej krwi

A Tobie Królu Mój dziękuję za naukę jak być królem państwa
które nie chciało być narodem. Aż do utraty wolności
Myślę N.K.P. Mój Stanisławie Auguście że cierpliwością swą
dałeś jestestwo narodowi które trwa w narodzie a dopiero
potem w państwie

oczy Ariadny



3.

tej nocy odkryłem ciebie śpiącą Byłaś za zielonym
ogrodem zamkniętych oczu Za mną Gdy dotykałem cię
różniłaś się od umarłej tylko tym że byłaś
bardziej ciepła Nie drgnęła żadna z opuchniętych
powiek

wczoraj

4. (ręka VI)

nie wiem czym jest twoja skóra
nie wiem czym jest moje ciało
wiem na pewno
gdy dotykam ciebie
że dotykam
moją
dłonią

a ciało wie czyją jest ręką

teraz

9. (o słowie które nie zapomni)

twoje imię jest moim słowem
o dotykaniu mojej głowy

twój dotyk jest moim słowem
o twoim imieniu

imię twoje tęsknić musi
do mojego słowa
moje słowo jest tobą
.....

ty o tym wiesz
choć przemilczasz
i jesteś mądra bo musisz
bo za milczeniem jest choroba
.....

ty o tym wiesz

1974–1978

13. (oczy ariadny)

nie
to nie twoje oczy
to twoja wątroba
z której mógłbym wywróżyć
że jesteś ariadną
a ja
wnętrzem labiryntu
dokąd posłałaś
już tyle młodych dziewcząt i chłopców

*wieczorem przed twoim
przyjściem – 1978*

14. (ojciec)

a kto na swoich ramionach
ciężaru własnego nasienia
nie uniesie

ten umiera

15. (złoty stożek)

gdy biore garść żółtego piasku
i wysypuję go powoli
z klepsydry zaciśniętej dłoni
na twój rozgrzany słońcem brzuch
uśmiechasz się
spoglądasz na
złoty stożek

potem powoli się unosisz
a złoty embrion
przelewa się
w suchy strumień

– leżymy na ruchomych piaskach
odpowiadasz

Zuzanna



kat (II)

przyszedł Zuzanno martwy nocy czas
popiołów ogrodnik wrót strażnik
trzeszczący mrozem kat
bezoczy przewoźnik piekielny

stoi w mojej żrenicznej piwnicy
i liczy stokrocie moich narodzin i śmierci
czysty martwy Rachmistrz Nieśmiertelny

mierzy tobie Zuzanno wzrost
bada biodra i głowy kształt
drażni chłodną kością piersi
na coraz bliższy dzień radości

na dzień mrozu na chwałę polarnej zorzy
ciało moje – bryłę lodu a wewnątrz trumnę
otworzy tobie Zuzanno

i w ciała mojego mrozie jak w puchach
na aksamitach śniegu jak w domu
twoim ostatnim domu cię ułoży

ułoży cię w ciele moim a twojej trumnie
martwym zimnym obojętnym
które będzie już tylko
przewoźnikiem nieśmiertelnym
katem

moje ciało – twój dom
ostatni próg

nigdy nie widziałem jej przytomnej

mówię do niej dzień dobry
a ona sunie wolno do mnie
wyjmuje z szuflady zszarzały ręcznik słowa
zwilża skąpo śliną
dotyka mego czoła
i prosi nie gorączkuj się
będziemy powtarzać rytuał będziemy drogi mój
lecz powiedz... powiedz
ty to naprawdę ty

ty pamiętam jakby imię jakby słowo
mówiłeś piersi włosy dłonie
lecz pamiętam jakby
tylko mowę
samą tylko mowę

– zaś radio które krzyczy we mnie
potem nakazuje nałożyć mi sukienkę

widzę:
płonie dom unoszą się sprzęty
szepcem stłumiony wzrok wymawia
uparcie zakłęcie

w pokoju:
roznosi się głos stateczny
melodyjny i uprzejmy

czuję:
dom się unosi pod stopami zgrzyta
suchy piasek zmarły pod starym fundamentem

ona: parzy herbatę nie miętę
między nami jest trzeci
liczę do trzech
ona jest ostatnia

Zuzanno nie jedź do Ameryki

nie wyjeżdżaj droga moja do Ameryki
ja nie jestem Krzysztof Kolumb
nie popłynę za tobą w odkrywczy rejs
zostanę tutaj na wieki

nie jedź miła do słonecznej Kalifornii
bo gdy tam słońce wysoko świeci
tutaj moje oczy topią się w śmierci
czarnej ziemi wierne

nie jedź za ocean
ja tutaj w mrozie i śniegu nie mijam
w kryształowej trumnie
odkrycie dumnie przeczekam

nie szukaj mnie z drugiej strony ziemi
tam pod twoimi stopami
chwast mojego grobu się pleni
nie wyrwiesz jego kłączy

tam na tym nie odkrytym lądzie
chwilą tylko będziesz
umierając w ziemi nie osiędziesz
najwyżej w beczczas przepłyniesz

wróc droga moja z Ameryki
tutaj znajdziesz śmierć i ciepłą ziemię
korzenie roślin i zgubione cienie
tu znajdziesz ocean który nie płynie

odwieczny wodny lodu ląd
tu czeka twój opuszczony odkrywca
twój Krzysztof Kolumb

modlitwa o Zuzannę

jeszcze nie płonie świat
jeszcze obcy pod stopami piach
jeszcze w żyłach płynie nieskażona krew
jeszcze oddajemy żyzne nasienie

ocal Panie Zuzannę

jeszcze ziemia daje nam krok
jeszcze wilgoć mamy w skórach
jeszcze jesteśmy daleko i obok
jeszcze nad nami nie płynie żółty obłok

ocal Panie Zuzannę
ocal dziecięcy jej wzrok

jeszcze budujemy dom
jeszcze piszemy listy
jeszcze wierzymy modlitwie
jeszcze znajdujemy w snach schron

ocal Panie Zuzannę
ocal dziecięcy jej wzrok
ocal kłopoty codzienne

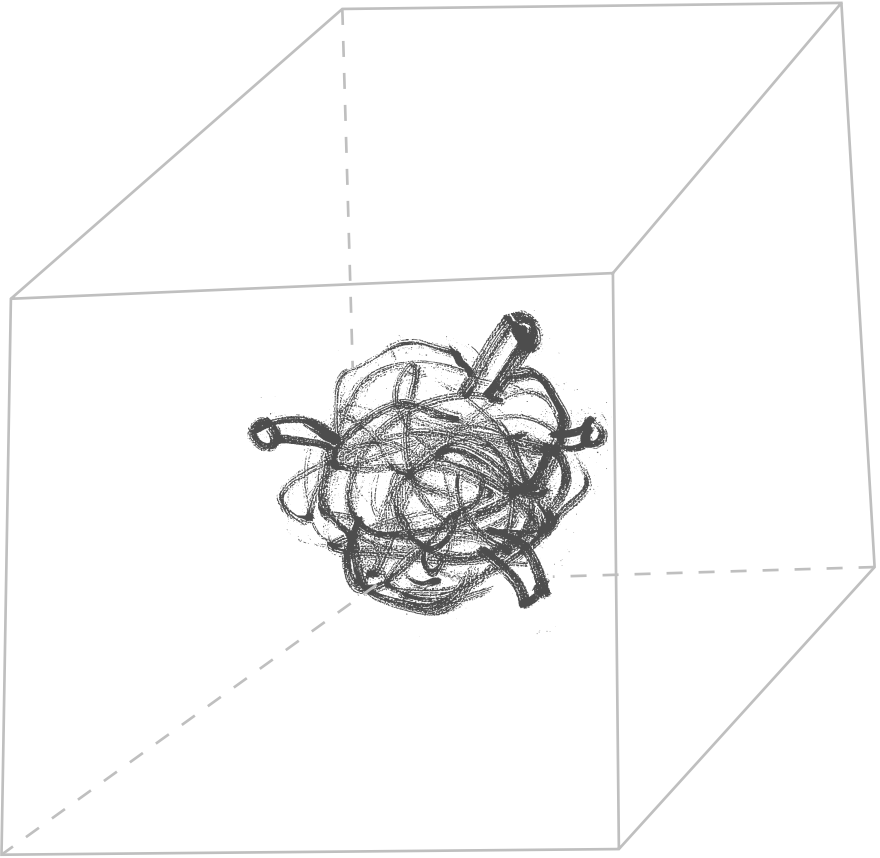
jeszcze lękamy się śmierci
jeszcze bywamy grzeszni
jeszcze zanurzeni w przeszłości
jeszcze radości czekamy jutro

ocal Panie Zuzannę
ocal dziecięcy jej wzrok
ocal kłopoty codzienne
ocal ją w całości

ocal Panie Zuzannę
gdy czas apokalipsy będzie
ocal ją Panie gdy tobie umierać przyjdzie
zabij ją nim pustynia nadejdzie
niech w czeluściach twojej śmierci zginie

niech umrze w śmierci twojej pełnej wolności
– wolna jak wolna żyje we mnie
póki ja żyję w twojego życia wolności

tu mieszkam



„od autora”

Umarli są głusi Rodzący się we własnej świadomości człowiek
kastrowany przez antybyty pisanych głupstw przez kulturę
która go zniewala gdy znajdziesz się w otchłani erotyzmu
i seksu pozostaje sam

Na wołanie „słuchaj dziewczeczko...” nie odpowie żadna kobieta
na świecie Co najwyżej przechyli głowę i udawać będzie że nasłuchuje
Nie spotka człowiek dzisiejszy „wiecznej amazonki”
ani „wiecznego męża”

Wszyscy ci co byli śpią I wcale nie chcą by ich indagowano
Człowiek pozostawiony sam na sam z otchłanią erotyzmu musi popełnić
samobójstwo

W wierszach bohater uwikłany w teatr słowa mitu egzystencji zostaje jak
każdy w takiej sytuacji pokonany

Na nic zdają się wysiłki zbliżenia tego co wieczne i tego co teraz Słowo
podniesione do wymiaru czynu ginie w nicości czynu Czyn ginie
pochłonięty otchłanią słowa

Książka staje się antyżyciem

Dlatego bohater musi być zabity przez Mariannę B.

Dlatego wreszcie musi zwątpić w ogóle czy jest

W świecie monad – a takim jest świat psychiczny człowieka
współczesnego – nie spełnione będą idee porozumienia

Prawdziwym tryumfem może być tylko niewypowiadalny
życiorys

Miłość jako porozumienie nigdy nie przekroczy zamkniętej monady
pragnienia Pozostanie w nas

wiersz o miłości

Susan E. Storie

chciałbym napisać wiersz o miłości
lecz między
chciałbym porozmawiać
aby wiersz był bardziej miłosny
ale między
powinienem dotknąć ciebie
by wiersz nie był bezgłośny
ale między
głos nasz winien brzmieć donośnie
ale między
raz powinniśmy usnąć na godzin kilka
po przeżytej żądzy
lecz między
wierszem miłością ciałem naszym głosem
pomiędzy naszą miłością
widmo rzymskich sandałów krąży
i przydeptuje każdy na nowo rozpoczęty
wers miłosny

trakt do Wrzeszcza

długo przez nie szedłem
nim znalazłem własne w mieście miejsce

najpierw przypominam sobie mgliście osiadłem
na Dubois – uliczce raczej na przedmieściu
na dachach z tamtej wysokości
pamiętam – nie wiem! – miasto mnie
straszyło omszałą koroną pleśni
zwieńczającą dachówki spadające rudą
kością w zamknięte oazy tutejszej
porzeczek którą znajdziesz nawet w centrum miasta

moja gospodyni – pierwsza tutaj przewodniczka
nie była rozmowna lecz gdy już mówiła
to o czynszu o przeciekających rynnach
o zimnym kłozecie o węglu który leży
trzecie dziesięciolecie w piwnicy
mówiła dziwnym akcentem
mój Hans jak wszyscy my dawni
Polacy dbał o dom
nie musiałam wtedy chodzić do pracy
pamiętam jeszcze jak grały organki
jak Ktoś grał co rano jednak
napisałem nawet opowiadanie ogłosiłem w gazecie
muzyk zaś w tym czasie umarł
jak w moim literackim koncepcie
lecz – odpowiadam tym którzy zarzucili mi wtedy
bezdusznosc – te organki naprawdę
grały też później i do dzisiaj grają w mej pamięci

los potem – ironicznie powiem – uśmiechnął
się do mnie i wywiął mnie na Polanki
– nie w chaszczce Przymorza! – choć wtedy
jeszcze taksówkarz wioził mnie w tamte okolice
– ale na ulicę... ulicę... ulicę

blisko domu Schopenhauerów lecz bliżej jeszcze w rejon
dawnego mieszczańskiego burdelu który jeszcze wcześniej
miał szacowną nazwę Gospody Pod Białym Jagnięciem
tam przez szybkie lata uczęszczając na Uniwersytet Gdański
codziennie biegałem przez ostatnie oliwskie
kartoflisko co rano witany przez białego konia
będącego już wtedy bez pracy
budzony nocą – wierzę – spazmami rozkoszy
pani Lusi co w Czerwonym Domku (do dzisiaj
stoi lecz teraz jest tam biblioteka)
pośród trzydziestu czterech kotów
pani Krysi uprawiała ze swym konkubentem swawole
to właśnie pamiętam najmocniej
krzyk i rozbitą głowę konkubenta ciosem
i bliskość klasycystycznych okien
i dom niemieckiego ponurego
– wyklętego dziś w tym mieście – filozofa
wtedy też po raz pierwszy w życiu – to było już
pod koniec – zobaczyłem niezidentyfikowany
obiekt latający
szedłem w stronę uniwersytetu
była noc spytałem moją dziewczynę
czy widzisz to co ja ona zaś głosem niepewnym
odrzekła patrz w którym kierunku To skręca
lecz ja spojrzełem w tył i zobaczyłem
okna domu studenckiego wszystkie wypełnione
wszystkie przerażone wszystkie rozmarzone

tak też nie wiem gdzie
Niezidentyfikowany Obiekt
zniknął

nigdy potem nie byłem mądrzejszy
to była noc czerwcową lub może był już lipiec
pora wszak na pewno już była gorąca

co rok wracam nastrojem do tej chwili
bo od tamtąd wiem że nad tym miastem

zawiśł urok jakaś boska ręka
rozpała dachy
jakaś klepsydra przelała nas
w stożek który znaczy
który co rusz się rozpada
i na nowo wzrasta tryumfem
ponownie miasto oziłaca
raz przynajmniej w dekadzie
wprowadzając w osłupienie wszystkich
i tych z daleka i tych z bliska

dopiero teraz wracam
do początku wiersza do Wrzeszcza
w którym nie znalazłem już dla siebie miejsca
wyrzucony na dzikie pola lotniska

ten tylko kto... dotknął jałowej ziemi piwnicy
dwustuletniego czynszowego domiska
dolnej części miasta
kto poznał cierpki smak porzeczeki
pleniącej się pod każdym omal wolnym oknem
komu zaparł dech wiatr wiejący
z dzisiejszej Zaspy...

bo tutaj właśnie zobaczyłem miasto
po raz pierwszy
nie ze środka nie z ulicy Grunwaldzkiej
lub Karola Marksa lub zakrętu z Brzeźna
tu gdzie emigranci Wrzeszcza
zobaczyć mogą dzielnicę w całości
pulsującą równo kolejką elektryczną

zamknięci betonowymi płytami supersamami
kioskami klubami estakadami warzywniakami
adeemami punktami tramwajowymi wysypiskami
...ami... ami... ami

tu oglądam codziennie Wrzeszcz
i czuję że mój beton puchnie i rośnie wszcz

że wiatr cichnie jakby przystaje
i piasek mniej skrzy i z okolicznego
cmentarza na balkon płynie jakiś duszny ruch
że granica mojego miasta gdzieś za stoczniami
i jego dźwigami ginie
że nawet tutaj dociera duch miasta
i panuje... nie jak przywódca nie jak zabójca
ani jak uzurpator
że to tylko równy oddech
że to niesprzeczny ruch
czarnych o tej porze dachów
całego Gdańska

że to nie oddech dumnego miasta
lecz żywego państwa
długo przez nie szedłem
nim znalazłem w nim swe miejsce

wreszcie przyklepiony piaskową Zaspą
do pasierbicy Gdańska-Wrzeszcza
usypiam – – –

usypiam na krótko bo nowe miasto
szybko budzi się z letargu piasku
wykwita szczelinami przerażonej nawały
pośród asfaltu śmiesznymi przydomowymi ogródkami
które z mojego dziesiątego piętra
natrętnie układają się w klasycystyczne
wzory ogrodów francuskich

w mieszkaniach ściany pękają
wkraczają przez szpary pierwsze owady
pierwsze poczwary lęki strachy
na chodnikach pojawiają się pierwsze
hieroglify dziecięcych gier
pierwsze ratunkowe ambulanse
pożary kradzieże wesela

pogrzeby pierwsze
przez okna rozmowy

miasto zaczyna szemrać szeptać
ożywiać się
i starzeć
i dopiero teraz
wytryska w jego centrum
płomień grzesznej jeszcze tutaj
porzeczeki balkonowego pomidora
wczesnej doniczkowej rzodkwi

granica między nowym a starym
w poprzek drogi zarasta
coraz bliżej stąd do starego miasta

-- -- lecz sen nie trwa długo bo dzwonek
u drzwi skrzeczy
otwieram stoi w całej swej poetyckiej
koronie poeta I mówi
przyszedłem do ciebie na papierosa
masz okna w stronę Gdańska
siadamy zapalamy papierosa
kot między nami
zbliża się pora pożaru miasta
to wiemy
siedzimy skupieni
kot między nami
płoną już dachy

Gdańsk 1981

Wrzeszcz nad ranem

tu mieszkam
oto czerwcową noc pomiędzy
krzykiem oliwskich łabędzi
i gregoriańskim chórem Gdańska

oto ulica Grunwaldzka
idzie na jarmarczny plac
strzec architektury
Aldony Dubois i Kilińskiego

idzie ulicą prostytutka i stary pies
stoi już mleko melina – supersam
(Politechniczna 102 a) – sto siedemdziesiąt stoi
sami swoi – nie milicji nikt tu się nie boi

taksówką po ulicach wszerez
Jan L. ten z Chopina – cześć
pijany nocą Wrzeszcz
bije blaszany bębenek

śni poetka Anna Cz. z ulicy Wrocławskiej
śni bo ona nie z Wrzeszcza lecz z Gdańska
śni się jej krew choć dzielnica
śni nie słyhać wzburzonego tętna

dzielnica niby śpiąca
nocą z dnia kpi
śni dzień pijany nocą Wrzeszcz
w dzień zastyga

tu mieszkam
i pilnuję nocnego państwa

1980

list do... (projekt)

... czuję samotność jak nigdy dotąd To mój i twój los Ale i ta „wspólnota” nas nie uratuje Da nam co najwyżej chwil kilka pociechy Wyszliśmy (kiedy?) na drogę błędzenia Błądzą Męcą się Boli Lecz to jedyne usprawiedliwienie dla mojego i twojego życia Jesteśmy usprawiedliwieni choćby przed sobą

Jeśli umrę będę jeszcze długo po tobie

Jeśli ty wcześniej odejdziesz – nocą myśleć będę o sobie jak o tobie A ty proszę pamiętaj – jak ja będę pamiętał o tobie – o mnie i przebij tę ścianę milczenia stamtąd Ktoś to

musi zrobić Ja albo ty

Kocham w tobie siebie jak w sobie ciebie Może dlatego jeszcze raz jeszcze raz powoli powoli podniosę się do następnego upadku klęski lub... może do całkowitej rezygnacji której jest i tak wiele we mnie od dawna Dobrze że jesteś Jesteś tak

prawie na pewno jak ja

Czuję twoją samotność Jak swoją A usta bolą mnie i chyba zabijają

Przeklinam dzień narodzin słowa i dzień ten świętuję Może dlatego że słowo pozwala mi się wypowiedzieć prawie jak ból
dłoń noc

To wszystko Ten list też nas (mnie) nie uratuje

Ale pozostanie w nadziei właśnie ale...

jestem

pieśń wilków

K. M. M. Radkom

one
nasze dzieci
dziś bezradne potomstwa
krew z naszej krwi ponad naszą krwią
powstaną z dzieciństwa
silne i okrutne
i pójdą

pójdą nasze kości
przemaszerują wszerek nasze potomstwa
przez noce krwi i przemocy i gwałtu
staną się stalą i pociskiem i słowem
i umrą w marszu i w trwodze
i pozostawią

dzieci swoje
krew z ich krwi ponad naszą krew
które wstaną z dzieciństwa
bezradne ich potomstwa
silne i okrutne
jak stal

jak krew
pójdą te ponad ich i nasze kości
ze śmierci i upodlenia powstałe pociski
wstaną z dzieciństwa
i pozostaną

będzie wojna

Małgorzacie Czerwińskiej

wojna już jest
wojnę trzeba spostrzec
swedenborg powiedział koniec świata nastąpił już dawno
i nawet jeśli się boimy
jeśli bardzo nie chcemy
nie odmienia to tego
co już się stało

wojna już jest
to nie znaczy że powinniśmy śmiało spojrzeć jej w twarz
powinniśmy się wreszcie wszyscy jej bać
my i wrogowie
ludzie dobrej i złej woli
bo wojna zgniecie wszystko
nawet zło

wojna już jest
wcale nie trzeba czekać aż poleje się krew
tak jak granice są tylko umową
tak jak tajemnicza jest granica życia i śmierci
tak jest wojna
nasza wojna

wojna już jest
trzeba to powiedzieć tym którzy ją wywołali
trzeba to powiedzieć tym którzy powinni się bronić
trzeba to powiedzieć tym którzy będą nieuchronnymi ofiarami
może to pierwszy krok do zakończenia wojny

tak to będzie początek końca wojny

19 VIII 1981

głód

Od trzech dni nic nie jadłem Wszystko się skończyło Został ryż i mleko które jeszcze donoszą codziennie Ugotowałem sobie ryż na sypko i zmieszałem z mlekiem lecz bezmyślnie dodałem sfermentowanych powideł... No i się zupa zwarzyła Jeszcze mam na dwa dni papierosy Oraz trzydzieści złotych które trzymam na ową chwilę gdy skończy się palenie... Nie muszę głodować Czuję że żołądek się buntuje Ścisła Żle sypiam Bardziej jeszcze buntuje się moje wewnętrzne bezżołądkowe „ja” Nie chce kontaktów z ludźmi choć może właśnie dlatego że tak bardzo ich potrzebuje Nie chce korzystać z wieloletniej uprzejmości przyjaciół którzy zawsze chętnie pokrzepią słowem i jedzeniem Moja dusza stała się dumna Ambitna Lekceważy nawet mój żołądek

Zanurzona we wszechświecie głęboko tak głęboko że nie słyszy schnących błon śluzowych mojego ciała staje się – poza tym że ambitna też coraz bardziej milcząca

Nie To zupełnie inaczej Najpierw zapadło milczenie potem dopiero obudziła się ambicja połączona z nadzieją że może uda się milczeniem wzbudzić świat w jakiś rezonans Moja dusza zmęczyła się nieustannym gadulstwem i zniekształconym głosem odbijających się po świecie jej własnych myśli

Zawieszona pomiędzy nadzieją i ambicją drga napinając już i tak źle działające śluzówki żołądka Drży Żyje Intensywnie tak dalece że ciało się gdzieś zagubiło... Drży z nadzieją że może eksplozja opuszczonego ciała przemówi dobitniej od niej samej gadatliwej jak powiedziałby Sartre – wstrętniej Drży Wypinając mój żołądek w ciemność nieba Wypina bęben zeschniętego mięśniowego wora prowokacyjnie do gwiazd Oto jesteś Boże cały wszechmogący i oto przed sobą widzisz bęben To jest jakiś żołądek Jakiś bezsensowny umierający mięsień Oto Boże jest was dwoje na świecie – Ty i ten oto

żołądek Zrób coś z tą dwoistością...!

Lecz prowokacja jest wciąż nieudana Bóg milczy niebo jest pogodne robi się ciepło kropi lekki deszczyk letni deszcz Czuję że wracam do równowagi Zbuntowany żołądek cofa się do wewnątrz ze swoimi pretensjami Może – chytry – czeka czeka co będzie dalej

Dusza znów panuje Spokojnie rozlewa swoje milczenie Zatem mi trudniej

formułować werbalizować jej stan

Zachowuje się równie chytrze co żołądek zamyka się do siebie

A wiem przecież że nie porzuciła swoich marzeń

i oczekiwań Rozedrgana swoim milczeniem buntem żołądka

i niespodziewaną wizytą Zuzanny zdaje się wycofywać

z granicy decyzji

Czuję jej upór przynajmniej w jednym względzie w jej milczeniu

i obecności hamującej wolność ciała

Nie muszę głodować Mogę na przykład podjąć pracę Zostać tramwajarzem

nauczycielem... Oddać się pracy Tyle że wtedy ciało musiałoby opanować

duszę podporządkować ją sobie: Umysł musiałby dyktować duszy rozkład

zajęć i plan dnia A jest dokładnie inaczej ciało i umysł ledwie tyle

wykradają sobie wolności aby nie zaniknąć zupełnie

Dusza wie o tym że lekkie naruszenie tego porządku może zabrać jej

hegemonię nie dopuszcza zatem do zakłóceń reżimu

Czuję jednak że boi się całkowitego zwycięstwa że nie

potrafi wyobrazić sobie całkowitego zwycięstwa Jakże

niewiele potrzeba było aby zachowywała się dzisiaj jak rozhisteryzowana

panienka... Pojawienie się Zuzanny jej cień przypadkowy cień Zuzanny

wywołał panikę... Zadała sobie pytania do których nie przygotowała się

zupełnie i wpadła w chaos... Bliskość Zuzanny starczyła aby hegemonia

duszy stała się bezsensowna Dusza wie że gdy stopi się z Zuzanną

zabraknie przyczyny dla jej istnienia Będzie tylko Zuzanna i ja To może nie

halucynacja bo słyszę wyraźnie monotonną pieśń duszy modlącej się Boże

Moja jeszcze nie czas jeszcze nie czas abyś przyszła na ten padół gdzie

ciało jeszcze nie rozumie mego lęku i gdzie człowiek rozpołowiony

potrzebuje zębów moich aby czuć ból Jeszcze Boże Moja pozwól abym

ukończyła Twoje dzieło i otworzyła przezroczyste tęczęwki oczu

człowieka... Pozwól Boże Moja niech dokończę Twojego dzieła... niech

opróżnię ciało na Twoje przyjście Zuzanno... Boże Moja On jest niewinny

i niewidomy...!

Słyszę jednak w tej modlitwie fałsz Słyszę lęk Słyszę rozpacz przed

unicestwieniem przed oddaniem mnie Zuzannie... Ona może jeszcze nie

chce uwierzyć że ja wiem... Że Zuzanna została mi wydartą... Że to ja

jestem Zuzanna że jestem swoim snem... Snem boskiej Zuzanny która

wszystko może...

Nawet być dwie dwoje dwóch...

Nie jadłem od trzech dni Dzisiaj przyszła Zuzanna

Niespodziewanie Przemknęła przez moje czyste ciało Zanurzyła się na

chwilę w szmaragdowej wodzie Jej piersi okolone białą pianą spłoszwały
na tę jedną chwilę gdy pomyślałem sobie że nic się nie zmieniło Po chwili
poczułem że będę rodził

To nie było bolesne w porównaniu z oczekiwaniem

Wyszła ze mnie Dorosła Miała jasne włosy Usta pachniały poziomkami
W pachwinie zobaczyłem pęknięcie Dotknęła go dłonią i powiedziała:
pamiętaj Zapamiętałem: Mam zapamiętać: oto objawił mi się Bóg
dotykałem jej rany aby nigdy nie zapomnieć i nie zwątpić

Ubrała się pospiesznie Wyszła Potem jeszcze dotykała mnie miłośnie jak
nigdy dotąd tak jakby chciała mnie pochwalić Że dobrze wszystko
zrozumiałem i że... I że może wreszcie zapomnieć o tym wszystkim o czym
ja pamiętać będę

Jestem w domu Nie jadłem od trzech dni Wszystko się skończyło Jutro
będę musiał rozpocząć walkę o życie Nie mogę umrzeć Nie może umrzeć
mój żołądek który muszę utrzymywać w stanie granicznym gotowości...
Ale pamiętać Aby
zaświadczać

poza wierszem do Marianny B.

Ludwice Topp

szczęścia ci życzę i twoim bliskim
i niech to szczęście krzyczy na przekór
niebu i ziemi i wodzie i ogniu
na przekór mojej ciszy

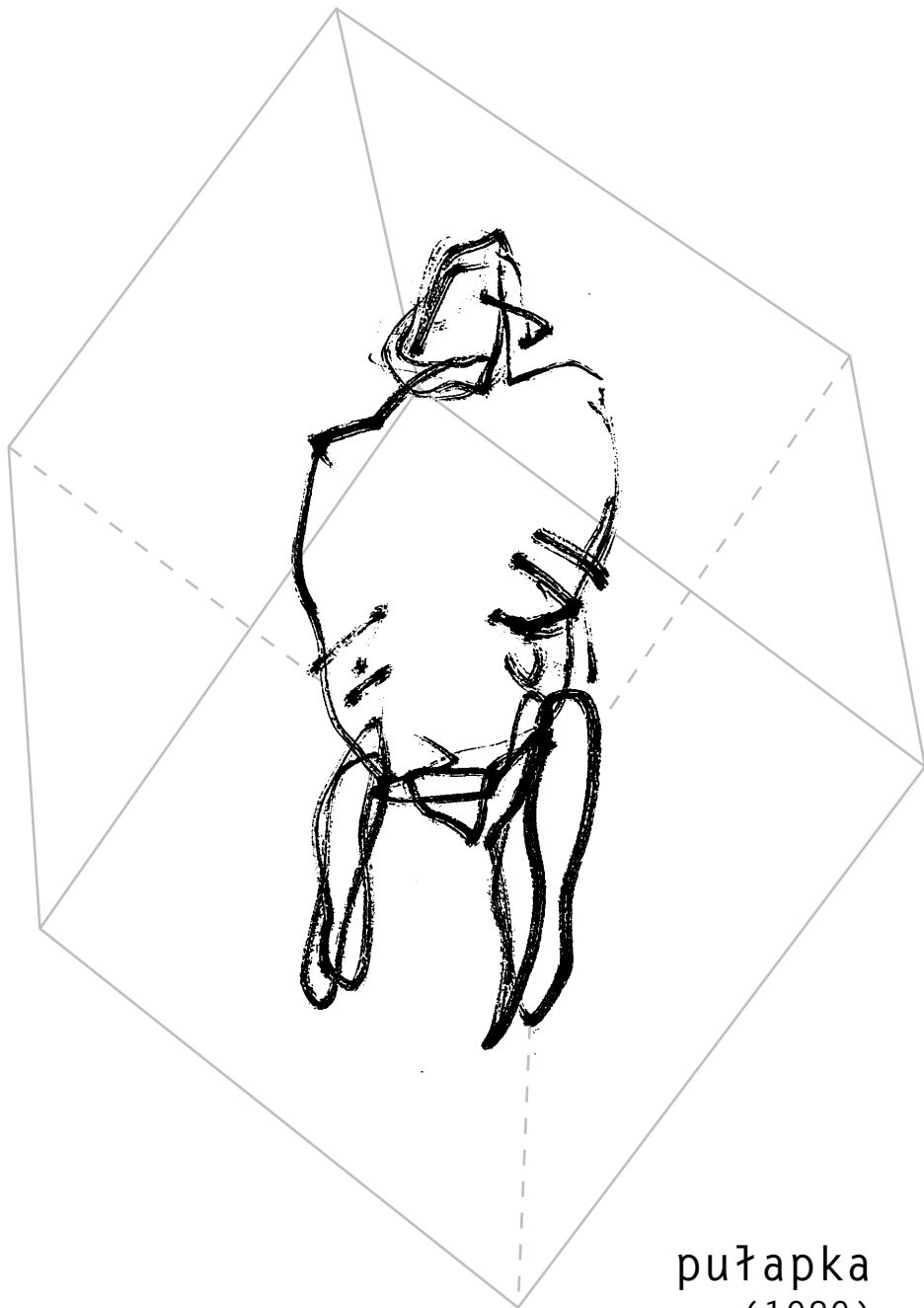
słońce niech stanie nad twoją bezsennością
zmęczeniem i cierpieniem
i szepty złych gnomów zagłuszy

bądź wierna sobie
a jeśli i to nie starczy
to skłam siebie

Boże Mój i ty Marianno
pozostało mi tylko...
życzyć ci
wszystkiego najlepszego

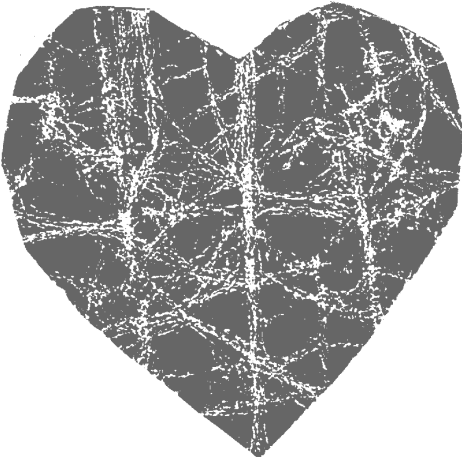
nie wiem skąd mówię
i czy witaj czy żegnaj
świat pęka
a przez coraz większe szczeliny

Boże Który Jesteś
jak ja bez Wyboru – luty 1977 w Gdańsku



pułapka
(1989)

pułapka



nie odgadłem twojego wieku
to dlatego że ten warkocz
tak misternie splątany ponad czołem
i piersi które odgadłem
dopiero gdy już wyszłaś
nie mówiąc dobranoc

(więc tak wyglądają erynie?)
tak dobrze zachowana w świecie
chrześcijańskim ty służka
nienawiści pisząca wiersze
do szuflady i odmawiająca
ich czytania

nie odgadłem jeszcze czegoś
– twojego ukradkowego spojrzenia
na młodego tebańczyka
w chwili gdy zrywałaś
się do lotu
w pogoni za tym nieszczęsnym
starcem Edypem

kiedy mężczyzna
mówi kobiecie
jesteś piękna

nie wierz mężczyźnie
jego dobrze ułożonym słowom
on nie wie czy jesteś piękna

kiedy słyszysz
od mężczyzny
jesteś piękna

powinnaś cicho cichutko
powtórzyć za nim
inne słowa:

jesteś dla mnie piękna
i budzi to we mnie zdumienie
aż do radości

i powinnaś

wziąć delikatnie
te dwa korale rozjaśnionych
oczu i włożyć

pod piersi pod
ich nieustanną ciemność
aby już nigdy nie zapytały

co jest naprawdę piękne

Kiedy mężczyzna wchodzi w kobietę

według Anne Sexton*

Kiedy mężczyzna
niczym ostra przybrzeżna fala
znowu i znowu
wchodzi w kobietę
i gdy kobieta w rozkoszy otwiera usta
a jej zęby połyskują niczym alfabet
Logos objawia mleczną gwiazdę;
wtedy mężczyzna
w kobiecie zawiązuje węzeł
aby nigdy więcej
nie byli rozdzieleni
a kobieta
wznosi się w kwiat
pochłaniając swoją łodygę
a Logos pojawia się znowu
i spuszcza ich rzeki z uwięzi.

Ten mężczyzna
ta kobieta w podwojonym głodzie
oddzieleni kurtyną Boga
próbują pojąć siebie
i na krótko im to się udaje
wbrew Bogu
który w swej przewrotności
rozsypuje ich węzeł.

* Wiersze według Anne Sexton oparte na: Anne Sexton, *The awful rowing toward God*, Houghton Mifflin Company, Boston.

mogę to zrobić
wykręcić numer usłyszeć
głos a potem
już spędzić
dzień spokojnie

wieczorem
rozumieć swoje poematy
rozumieć rozpacz płaczów dziecięcych
przyływy i odpływy sensów
mogę patrzeć spokojnie
na Pana Boga kołyszącego się
na huśtawce
i słuchać bez lęku
diabłej muzyki
dźwięczącej zawsze
i wszędzie

głos w słuchawce
tak, tak nie-za-bardzo ale
dobrze nie wiem co chcę
ale zadzwoń w

, więc tak mało!
tylko miłość do ciebie
i ten ocean
w którym wszystko płynie
i w którym moje łuski
łagodnie przywierają
do ciała

Ręce

według Anne Sexton

Z morza wyszła ręka
nieświadoma niczym mały grosik,
z maltretowana solą narodzenia,
niema ciszą ryb,
szybka falą przypływu
i Bóg otworzył swoje usta
i nazwał ją mężczyzną.
Wyszła następna ręka
i Bóg nazwał ją kobietą.
Ręce zaklaskały.
I nie było to grzechem.
I było to tak, jak powinno być.

Widuję je włóczące się po ulicach:
Levi narzeka na materac,
Sarah bada tłuczek,
Mandrake trzyma swój kubek od kawy,
Sally gra na perkusji na meczach futbolu,
John zamyka oczy umierającej kobiecie;
Widzę i innych w więzieniach
– jeśli nawet więzieniem jest ich ciało.
Jak ciało Chrystusa, w którym był uwięziony
do czasu, aż przyszedł czas tryumfu.

Rozwijajcie się ręce,
wy, anielskie tkaniny,
rozwijajcie się zwoje trzepoczących
na wietrze sztandarów,
wglębiajcie się w siebie i napełniajcie słońcem
i klaszczcie, świat
klaszcze.

(o módl się Elis)

czy modlisz się o Elis za mnie
gdy wyruszam w topiele Morza Sargassowego
czy znajdujesz czas pomyśleć o mnie
gdy szukam miejsca i kraju gdzie czas jest możliwy
czy wieczorami słuchasz echa moich słów
gdy zmęczony zagubiony w wędrówce krzyczę do ciebie
czy śnisz mnie aby być ze mną pomimo czterech stron świata
gdy ja oblepiony brudami świata myję się w rzece płynącej do ciebie

czy pachniesz w tajemnicy przed wszystkimi
aby doszedł do mnie zapach ciała twego i jego obłączenia
czy mówisz słowa w pustym pokoju
aby nie zostały zagubione przed moim powrotem
czy dotykasz delikatnie swoich skroni
aby uczuć w nich pulsowanie mojej krwi

o Elis! czyń to aby nie urwała się
lina na której polegam że wywiedzie mnie z tej
wyprawy żywym

to prawda że zazdroszczę Panu Bogu
bo to On ten świat...
i pewnie bez niego nawet bym nie pozazdrościł

to prawda zazdroszczę też kobiecie
choćby z tej przyczyny że macica...
gdyby jakkolwiek inaczej
tobym nawet nie pomyślał

ale po paru nieprzespanych nocach
z Panem Bogiem staram się być
szczerzy to myślę
ale to się nam pokomplikowało

jak one to robią bez Ciebie
i jeśli nawet ze mną
to tak zupełnie bez zobowiązań
wobec mnie i Ciebie

mam tyle stron
a coraz mniej dni

coraz mniej dni
a coraz więcej wierszy

Jahwe i Jezus
są coraz bliżej

a ja coraz dalej

Odwaga

według Anne Sexton

Widoczna jest w małych rzeczach.
W strasliwym trzęsieniu ziemi
pierwszego kroku dziecka.
W zataczaniu się chodnika
podczas pierwszej przejażdżki rowerem.
W laniu jakie otrzymaliśmy
po pierwszej samotnej podróży serca.
Kiedy przezywali cię mazgajem
albo biedakiem albo grubasem albo wariatem
i wpędzali cię w obcość
– piłeś ten kwas
i ukrywałeś to.

Później,
kiedy stanąłeś twarzą w twarz wobec śmierci
wcale nie ze sztandarem
a tylko z kapeluszem
zasłaniającym twoje serce,
nie rozpieszczęłaś słabości,
pomimo że była w tobie.
Wciąż przełykałeś węgielek
swojej odwagi.
A kiedy twój kumpel umarł osłaniając cię
jego odwaga nie była odwagą,
to była miłość, zwyczajna miłość, zwyczajna jak rzecz.

Później,
jeśli przetrwałaś wielką rozpacz,
następne zносиłaś już sam,
biorąc transfuzje ognia,
zdzierając strupy z serca jak skarpety
z nóg.
Wtedy, mój bliski, przypudrowałaś swój smutek,
odpowiedziałaś lekkim głośnięciem,

przykryłeś smutek kocem
i potem chwilę on spał
budząc się już w skrzydłach róż
i był przemieniony.

Później,
kiedy staniesz wobec starości i jej naturalnej konsekwencji,
twoja odwaga będzie ujawniana małymi sposobami,
każdej wiosny będziesz naostrzonym mieczem,
abyś, kochany, żył w gorączkowej miłości,
będziesz się targował z kalendarzem
i w ostatnim momencie,
kiedy śmierć otworzy tylne drzwi,
nałożysz swoje domowe pantofle
i zrobisz wielki krok.

tak udawaliśmy że
to udawanie stało się

tak kłamaliśmy że
zasnęliśmy nie płacząc

tak brnęliśmy że
nie swoje wzięliśmy za nasze

umierać będziemy winni

już śpię śpisz
ty już cała
w cieniu poduszki
oddałem się

rzece miękkiej fali
raz tylko po raz
wychylam rękę
ponad wody lustro

chwytam ciała powiew
zapadam się
ponownie i znowu
wychylam i szukam

aż budzę się
i odnajduję ciebie
ułożoną do kształtu
mojego snu zgodnie

tak czuwam zawsze
aby nie przeoczyć chwili
gdy ty się budzisz w nocy
samotna w lęku

że rzeka uschnie
że zabraknie zieleni
ociemnionej poduszce
i że nie do przebiccia

jest wody lustro

(erotyk)

to nie jest wiersz
a ledwie słowa których powiedzieć nie mogę
zatem je piszę
bo pisanie jest jeszcze dla mnie wolnością

są twoje piersi tak przejrzyste
że wydają się niemożliwe
są twoje chwile nieuwagi
że myślę nie ma powodu do miłości

są słowa (za cenę ich zabójstwa)
nie powiedziane a sensowne
jeśli są pomyślane
dla życia i dla jego ocalenia

jestem jeszcze ja i ty
a dzieli nas Bóg
jest nas troje
bezlitośnie działających każdy
w swoim
imieniu

w tym bajecznym supersamie (można
tam kupić nawet uspokojenie)
przewyższającym naszą wyobraźnię
(z natury wynika że świat jest bogatszy)
nie znajdujemy zadowolenia

wychodzimy i idziemy do małych sklepików
robimy tam dobre interesy bo tam kupujemy zadowolenie
(choćby czasowe do końca życia)
niesiemy szczęśliwi towary
gadgetsy pestek pomarańczowych dzieci

zrobiliśmy dobry interes
założyliśmy rodzinę są
gadgetsy i jest centrum świata
a przecież nie ze skąpstwa
(jesteśmy już wszak bogaci)
wsiadamy ponownie w samolot
by przelecieć się raz jeszcze po
supersamie

bo wyobraźnia wie że pięknie
gdy tylko wpadnie na pomysł
że pestki pomarańczowe obce
są smakowi pomarańczy
robimy ten oblot w nadziei
że naprawdę nie obejmujemy
cudowności całego supersamu

wrócimy już bez lęku do naszych
małych sklepików codzienności
suszyć pestki pomarańczy
owoce oddając im w ręce

każdy z nas rozdzielony
swoim uspokojeniem

Dzieci

według Anne Sexton

Wszystkie dzieci płaczą w swoich kojcach,
fale roznoszą ich płacze w oddale.
Są starymi ludźmi, którzy zobaczyli zbyt dużo,
ich usta są pełne brudnych gałganów,
język ubogi a łzy wyciekają kroplami ropy.
Fale przynoszą ich krzyki z powrotem.

Słuchajcie.

One są zaczarowane.

One spisują swe życie
na skrzydłach elfów,
które zaraz potem umierają.

One spisują swoje życie
w stuleciu upadającym w ruinę.

One notują swoje życie
na bombie obcego Boga.

Jak ja.

Musimy znaleźć ratunek.

Dzieci umierają w swoich kojcach.

Ich ciała kruszeją.

Ich języki wykręcają się do tyłu.

Jest w tym coś rytualnego
– one tańczą jakiś taniec w swoich kojcach.

Ich usta są olbrzymie,
połykają serca potworów.

Tak jak i moje usta.

Słuchajcie.

Musimy zatrzymać te małe śmierci

w kraterach nienawiści,
w kotłach obojętności
– morderstwa w świątyniach.

Miejsce w którym żyję

przypomina labirynt,
wciąż poszukuję
wyjścia albo domu.
Gdybym jeszcze mogła wysłuchać
wściekłą odwagę tych dzieci
i sprowadzić ją do wnętrza mojej udreźzonej duszy,
która ma więcej oczu niż gwiazd,
mogłabym stopić tę ciemność
– tak szybko jak przechodzi ból głowy
albo jak się gasi pożar –
i zatrzymać ją i jej spustoszenia
i znaleźć prawdziwego McCoya*
w prywatnej świętości
moich dłoni.

* Prawdziwy McCoy (*real McCoy*) wyraża bycie „czymś”, „kimś” właśnie tym prawdziwym w przeciwieństwie do jakiegoś innego. Podobnie trochę jak w języku polskim istnieje sformułowanie: on pochodzi z tych np. Zamoyskich (przyp. Z. J.).

Węzeł

(replika na wiersz Anne Sexton
„Kiedy mężczyzna wchodzi w kobietę”)

kiedy mężczyzna wchodzi
w kobietę
rozdzwaniają się dzwony tego świata
ale ten chaos
dźwięków wcale nie tworzy
harmonii

Logos odwraca twarz
zatyka uszy
zamyka oczy

ta kakofonia
rozpaczy i rozkoszy
może tylko rozedrzeć
niczym sztormowa fala
brzeg nie kobietę

i zniszczyć obojętną radość
natury która odpowie tylko
dźwiękiem innej rozpaczy

krzykiem dziecka

tak się zawiązuje węzeł?

jesteś tak przezroczysta
że gdy stajesz pomiędzy
mną a lustrem
w zwierciadle odbija się
tylko mój obraz

jesteś tak przezroczysta
że gdy stoisz sama
w tym lustrzanym pokoju
nie ma nikogo

tylko z gwałtowności
pękających luster
wiem na pewno
że przezroczystość twoja
jest gęsta

i pełna
aż do samoudławienia
widzę to spostrzegając
małe krople łez
na porozbijanych
kawałkach szkła

my nie jesteśmy samotni
oboje wzrastamy
w nasz dom
ktoś pcha nas do tego

w naszym ogrodzie życia
rośnie słonecznik
straż naszej cierpliwości
daje owoce widzisz to

mamy tylko jedno życie
tak jak ona ma jedno
zniszczyć siebie teraz wzajemnie
to byłoby najgorsze
co moglibyśmy zrobić

dlatego połóż swoje zwichnięte ramię
przy moim trzepoczącym sercu
zatrzymaj czas na chwilę
i znajdź Boga

w jej – naszej córki –
niewinnym i czystym uśmiechu
ona ma nas oboje
my mamy ją jedną

czy widziałś kiedyś Boga?
ja tak wybuchł
w naszym słoneczniku
w samotności nasienia

ty jesteś za Bogiem
ja jestem za tym co widzę

boisz się że mówię o miłości
mówisz to Bogu codziennie

mówisz kwiatom Kocham was
lecz drżysz aby pozostały podległe

nie oczekujesz miłości od Boga
bo miłość do jest bezpieczniejsza

a gdyby odpowiedział
w jaki kąt byś uciekła

w poduszkę ulubiony przedmiot
a jeśli On tam też jest

widzę że ciebie Kocham
a ty mnie jak swojego Boga
– aby się tylko nie odezwał

pułapka

I

przycupnąć
bo ja wiem może
nawet nie w kącie aby
bliskość ściany
nie drażniła naszych
opuszczonych ramion może
najlepiej w samym środku
i krążyć pomiędzy
kawałkami smakołyków dotykać
ich lekko głaskać
i nie połykać
aby nie stanęły nam
w gardle pestki
metalowe haki
wyrzucające nas poza
obręb pułapki

można się modlić brać
w rękę nabożnie nabożne
książki szperać pomiędzy
kartkami szelest ich może
zagłuszyć świst
wiatru grającego na prętach
klatki można nawet wygłaszać
słowa głośno i głośniej
wędrować za wersetami
świętych książeczek śpiewem
szepem wzdychaniem
można wydzierać pojedyncze
słowa układać je
w inne porządki
to jest bardzo zajmujące
zajęcie

dobrze jest dbać
o higienę myć zęby
od przodu od tyłu
po bokach i po wierzchu
mydlić starannie ręce
sprawdzać zapach podmywać
dzieciom pupy
nie trzymać w zlewie
brudnych naczyń dbać
o przynależne przedmiotom miejsca
być strażnikiem rodzinnych zdjęć
i pamiątek dotykać siebie
współtowarzyszom mówić tak
nie budzić ich niepokoju
dzieciom czytać
książeczki które są napisane
aby nie budziły wielu
pytań i odpowiadać
pokazując imponujący
porządek spokoju
panujący w środku

II

w czasie teraźniejszym
zawarty jest czas przeszły
a być może oba są
w czasie przyszłym*
a jeśli tak jest
nie ma czasu żadnego
pamiętam liczyłam
swoje lata na wszystkich
palcach dłoni i nóg
a gdy zabrakło palców

* Por. T. S. Eliot, *Burnt Norton (Four Quarters)*, Criterion Books, N.Y. 1958.

rozśmieszyło mnie to
i zaczęłam liczyć
na palcach różnych
wydarzeń liczyłam
na palcach tych mężczyzn
(jeden z nich miał palec
owinięty srebrnym łańcuszkiem)
którzy przechodzili przez
moją pachnącą świeżością
klatkę znów palców
nie brakowało raz
dwa trzy dwadzieścia pięć
i nagle rozmnożyło się ich
tyle że nie mogłam nadażyć
za latami czas przestał
istnieć i czas
przeszły i czas
teraźniejszy i czas
przyszły stały się
kratami bo były to
palce moich dzieci
i tego mężczyzny
tak bezradnego gdy czasami
zbliżam się na niebezpieczną
odległość (tylko odległość)
ścian klatki
zatem czas liczyć mogą
tylko moje dzieci?
jeszcze jest między
trzecim a drugim prawej
i lewej ręki
zatem krążyć mogę
między i nie policzonymi
jeszcze palcami ja
bezręka?
wtopiona w ich rachubach
w czas nie istniejący
bo teraźniejszy

ja żywa o czym zaświadcza
ruchomy cień
na ścianie pułapki
żywa ruchoma
ale tylko w mojej klatce
już wiem już wiem
one są w mojej
klatce tymczasowo
ja do ich miejsca osaczenia
nie dotrę nigdy
to tylko czas przyszły
(którego jak wiemy nie ma)
choruje i daje
mi złudzenia

III

Bóg przyszedł do mnie
i powiedział O! Elis
kocham ciebie
jak strasznie to zabrzmiało
więzień nie może
dawać w nieskończoność
wyznanie miłości jest żądaniem
kocham Cię Boże
bo miłość do Ciebie
jest braniem
lecz gdy Ty objawiasz
swą miłość znaczy
chcesz ode mnie
jeszcze więcej...
zamknąłeś mnie w monadzie
śmierci odjąłeś
mi palce ręce ramiona
i chcesz jeszcze...
kocham Cię Boże
bo miłość jest braniem
lecz nie żądaj

ode mnie więźnia
Twojej klatki abym
jeszcze...

wyznaję Tobie miłość
Boże bo pragnę jej od Ciebie
zostaw mnie samotną
tę która jeszcze wciąż
może wziąć od Ciebie
gdy Ty mnie pokochasz
zawali się klatka
a pod jej gruzami
pokruszą się wszystkie
moje smakołyki pogubią się
palce na których
jeszcze liczą dzieci
otworzy się pułapka
i jeśli wyjdę z niej
umarła to nic
ale jeśli żywa
a na zewnątrz nie będzie
nic ani miłości ani
Ciebie

nienawidzę mojej płci
przynosiła mi rozkosz i radość
i ten wspaniały niepokój

przyniosła więzienie
niewinnym brzoskwiniom
które później lub wcześniej

staną się tylko pestkami
i zdolne będą tylko
rozrodzić się w kolejną
brzoskwinie

i też znienawidzą swoją płeć
bo też swój owoc
znajdą w więzieniu

Nie tak. Nie tak

według Anne Sexton

Nie mogę zrobić ani kroku
nie próbując iść do Boga.
Nie mogę ruszyć palcem
bez próbowania dotknięcia Boga.
Prawdopodobnie to jest tak:
On jest w mogiłach koni.
On jest w roju, w szaleństwie pszczół.
On jest u krawca naprawiającego moją garsonkę.
On jest w Bostonie, ściga się po drapaczach chmur.
On jest w garnkarzu lepiącym pocałunek w glinie.

Niebo odpowiada:
Nie tak! Nie tak!

Mówię na różne sposoby
ale niebo rozbija moje słowa.

Czy nie ma Boga w szumie rzeki?

Nie tak! Nie tak!

Nie ma go w kopcu mrówek,
kroczeniu, ściskaniu, umieraniu, rodzeniu?

Inaczej! Inaczej!

Zatem gdzie?
Nie mogę się ruszyć na krok.

Spójrz na swoje serce
miotające się tu i tam niczym ćma.
Bóg nie jest obojętny wobec twoich pragnień.
Ty masz tysiąc próśb
On tylko jedną ma.

Szaleństwo

według *Anne Sexton*

Ja nie jestem leniwa.
Żyję na amfetaminie duszy.
Każdego dnia
przepisuję Boga,
moja maszyna do pisania
wierzy w to.
Bardzo szybko; bardzo łapczywie
jak wilk przy żyjącym jeszcze sercu.
Ale kiedy gnuśni mężczyźni mówią
ona patrzy w stronę nieba,
aniołowie zamykają okna.

O aniołowie
zostawcie otwarte okna,
abym mogła wyciągnąć
i ukraść rzecz,
rzeczy, które powiedzą mi, że morze nie umiera,
rzeczy, które powiedzą mi, że brud jest częścią życia
że Chrystus, który przyszedł do mnie,
szedł po prawdziwej ziemi
i że to nie szaleństwo,
że pszczoły żądlą me serce każdego ranka.
O aniołowie rozewrzyjcie swoje okna
tak szeroko i rozległe
jak rozległa jest angielska wanna.

Sztuka

według Anne Sexton

Jestem tylko aktorem.
Niełatwo jednej kobiecie
zagrać całą sztukę.
Tą sztuką jest moje życie,
mój solowy występ.
To bieg za moimi rękoma,
których nigdy nie mogę dogonić
(ręce są poza polem widzenia,
to znaczy poza sceną).
Bieg – to wszystko co czynię na scenie,
bieg do upadłego,
nigdy mi on nie wychodzi.

Raptownie zatrzymuję się
(to posuwa akcję trochę do przodu).
Wygłaszam przemówienia, setki,
modłę się, wszystko to monologi.
Opowiadam rzeczy absurdalne takie jak:
Jaja nie muszą być w sprzeczności z kamieniami,
albo trzymaj swoją złamaną rękę w rękawie,
albo ja stoję wyprostowana,
ale mój cień jest garbaty.
I tym podobnie.
Gwizdy. Same gwizdy.

Pomimo to
brnę dalej do końca:
Być bez Boga to znaczy być wężem,
który chce połknąć słońca.
Kurtyna opada.
Publiczność zrywa się do wyjścia.
Tak, to było złe przedstawienie.
Ale dlatego że jestem tylko aktorem,
a tam było zaledwie kilku ludzi, których życie
będzie interesującą sztuką.
Zgadzasz się z tym?

(moja córka)

widziałem wiele scen
ale zapamiętałem jedną
Vangelis grał swoją muzykę
jakby oskarżał świat

muzyka potężniała
to była noc
najgłębsze myśli
wyczerpywały się

ona stanęła na krześle
jasna blondynka
miała niebieskie oczy
i płakała
i wykrzykiwała:
zatrzymajcie się
natychmiast
już

jestem za mała by słuchać
głosów waszej śmierci
proszę pamiętajcie
o moim małym sercu
ja jestem dopiero
wschodzącą
gwiazdą
pomóżcie mi

ja pamiętam to że usłyszałem
i teraz wypowiedzieć nie mogę
ani słowa nawet gdybym
chciał

(sen)

miałem sen widziałem was wszystkie
naraż
ciebie córko i ciebie babko w twoim
nowym ubraniu i ciebie mamę
i ciebie teściowo i siostry
i moją żonę

wszystkie razem mówiłyście mi
spróbuj znowu
ból jest jak sukienka
można go używać

użyj go jak sukienkę
nakryj siebie
przykryj brak wstydu
bądź sobą
pod kocem
przykrywającym twą śmierć
przemień cierpienie
na siłę
dla siebie
dla córki
na bezgrzeszny
prezent

1985

Poeta nieświadomości

według Anne Sexton

Prawdopodobnie ziemia dryfuje

– nie wiem.

Prawdopodobnie gwiazdy są papierowymi wycinkami
wyciętymi przez jakieś wielkie nożyce

– nie wiem.

Prawdopodobnie księżyc jest zamarznąłą łąką

– nie wiem.

Prawdopodobnie Bóg to tylko głęboki głos
słyszalny dla głuchych

– ja nie wiem.

Prawdopodobnie nie tylko ja.

To prawda mam ciało

i nie mogę z niego uciec.

Chciałabym wyfrunąć z mojej głowy,
ale to jest poza wszelkimi możliwościami.

Jest napisane na kartach przeznaczenia,
że jestem przykuta tutaj do swojej ludzkiej formy.

Jest w tym pewna sprawa,
na którą chciałabym zwrócić uwagę.

Tam w środku, wewnątrz mnie jest zwierzę,

zaciska mi szybko serce

wielki krab.

Lekarze bostońscy

o mało nie wyrwali sobie rąk.

Próbowali skalpelami,

igłami, trującymi gazami i innymi sposobami.

Krab wciąż pozostaje.

Ogromnie ciąży.

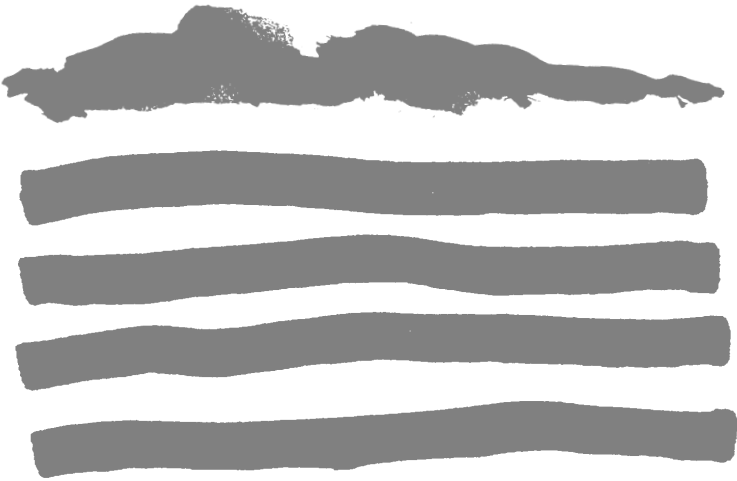
Próbuję go zapomnieć – załatwiam swoje sprawy,

gotuję brukselkę, otwieram i zamykam książki,

myję zęby i zawiązuję buty...

Próbowalam się modlić,
ale wraz z modlitwą ucisk kraba wzrastał
i ból się powiększał.
Raz zdarzył mi się sen,
prawdopodobnie był to sen,
śniło mi się, że krab
jest po prostu moim nieświadomym Bogiem.
Lecz któż ja jestem, aby wierzyć w sny?

Ameryko, Ameryko



do S.R.

piszę do ciebie przyjacielu z Rzymu
od kiedy razem młodzi poszukiwaliśmy szatana
imperium się rozpada jak każde cesarstwo
zestarzałem się bardzo choć alchemia utrzymuje me ciało w całości

miejsce najlepsze Czarnego Anioła
ciągle badam czas żółwia Achillea zostawiam na razie w spokoju
uszedłem do Centrum za głosem młodości
diabeł imperium jest w mózgach wyszedł ze swego ciała
jestem trochę przerażony zadaniami które sobie stawialiśmy
objawił się raz w dziecku raz w pięknej kobiecie
szukaliśmy pęknięć zamknięci w zaścianku
próbował wiele razy dotrzeć do mej głowy
w całości zaścianku czuliśmy się cali
dwa razy głowa mi się zapaliła

nie wierzę w geografę lecz tu ona panuje
zmęczony jestem bo tu nie ma lądów
mapy mapy rozległe podnoszą dumę cesarstwa
nie ma jak rozpedzić żółwia a co dopiero Achillea
choroba ze stolicą Rzymem
jedynym lądem jestem sam sobie zaściankowy kusy
okropnie wrzeszczy

PS myślę że Rzym nieszybko spłonie
lecz przeraża mnie szelest obsuwającego się piasku

Cinti 1983

Cincinnati 12 lipca 1983 roku

chłodny powiew rzeki nie sięga do miasta
krótkonogi wiatr staje tuż u pierwszych domów
niezdecydowany wejść do Down Town

miasto jest umarłe tu nie słysząc ptaków
powietrze stawia opór nawet małym ruchom
kamienie rodzą krople potu

słońca nie widać przysłonięte kopułą rozżarzonego powietrza
domyślać się go można z przyśpieszonych skurczów serca
i ciała wylewającego gorące strugi deszczu

nie można uwierzyć że za szczelnie zamkniętymi oknami
za spoconymi głowami klimatyzatorów
zmęczone ciała szykują się do skoku

przez noc do następnego tak samo
bezlitosnego dnia upału

czas tu się rozwinął do ptasich rozmiarów
ostry dziób stwardniał a pióra spłowiały
odporne na wiatry deszcze i zawieje

z perspektywy czasu nawet gdy kołuje
ludzie są jak mrówki (a mrówki są tu duże)
nie słyszy się ich głosów gdy zwołują ptaki

starczy że są tak ptasi czas istnieje
widzi funkcję swą w mrówczym zabieganiu
nie musi słyszeć głosów

od czasu do czasu dla pewności
chwytą w szpony zamroczoną mrówkę
która się ze zbyt dużych szponów wymyka

i spada w mrówczym tylko sensie
szybko lecz od dołu widzę powoli
jak liść zwiędły klonu

nie wiadomo nawet czy się zabija
czy nie za lekka na takie doświadczenie
choć wszyscy dookoła mówią że ludzie tu też umierają

Nowy Jork 1983

balon światła

wstałem rano słońce było
ostre zielone światło
błyszczało nad zieloną łąką

pomyślałem lato
mamy tego roku dobre
zboża wzrosną w nadmiarze

spojrzałem na tę rzeźbę
potworka gdy ruszyła głową
i brąz oka wpadł aż do pokoju

zatem rozbiłem balon światła
policzyłem sprzęty nazwy
i znów znalazłem się w Ameryce

zwierz zwinnie skrył się do nory
której koniec mógłby się
znaleźć na polach gdańskiej Zaspy

Stancraft Farm 1983

nie mogłem wiedzieć że upał to wymiar tego kraju
teraz wiem krople potu kapią mi z uszu
takie żywe kolczyki
mokre nie schnie
woda wydaje się suchsza od powietrza
chłodny jest lód zimno
to termin znany z pamięci
lecz jak odległy gdy
w autobusie przedzieram się
przez mokre ciała
ptaki żyją nocą bo tylko
wtedy w ciemnościach można
udawać że jest czymś
oddychać

z lekcji historii powszechnej pamiętam
żuki faraona odporne na żar słoneczny
przedzierały się przez pustynię
metalowe pancerne przypominały
samochody
teraz gdy patrzę na samochody
które nie wybuchają od gorąca
choć powinny
przypominają mi się
żuki
tylko teraz nie stanowią wróżby
za to są piękne
bo suche

skąd ja przybysz ze wschodniej Europy
mogłem wiedzieć że tutaj niemożliwa
jest rewolucja (a przybyłem w rewolucyjnym
zamiarze ocalenia) że niemożliwa
jest przynajmniej w niektóre miesiące
skąd mogłem wiedzieć że upał

rozpuszcza mózgi bardziej
niż najlepsza indoktrynacja
(patrz: na tych ludzi na Calhun)

z lekcji historii pamiętam napoleońskie wojska
powracające z zimy Rosji
w futrach grubych płaszczach
wyglądały na rozczarowane
że zima tam chłodniejsza niż w Marsylii
teraz gdy patrzę na tutejszych rewolucjonistów
czekam tylko aż zażądają schłodzenia
klimatu w imię sprawiedliwości społecznej
i zabrzmi to dumnie i celnie
w południe

Cinti 1983

modlitwa amerykańska

daj Panie Boże jobu daj
w nadmiarze w każdej chwili
niech śni mi się job
nad ranem niech towarzyszy mi
w mym życiu do końca
i po śmierci
jobem zapełnij treść
mego trwania i radości chwile
niech będzie job jeden w czasie
i ponad czasem

Panie Boże Wszechmogący
stwórz jobu jak najwięcej
zatrudnij nasze chęci
siły i ręce
zbuduj fabryki pracy
lub daj nam zniszczyć
aby na nowo budować
my jobu chcemy
pracy pieniędzy

zbudujemy nowe piękne
miejsca pracy namnożymy
jobu na wieki
nigdy nie zabraknie
stanowisk do pracy
dla nas dla przyjaciół
dla naszych dzieci
i będziemy wreszcie pracować
od dnia urodzenia
do pierwszej chwili
śmierci

Newport

po raz pierwszy w życiu chciałem być
policjantem
a było to w Newport w stanie Kentucky
za Ohio
ta mała dystynkcja znaczy że byłem już na
Południu
gdy tak szedł Dziesiątą ulicą z rewolwerem
nie zapiętym
w kaburze prawa choćby skórzanej ale jednak
chciałem
a było to już po paru miesiącach zmywania naczyń
u Frischa
(każdy bank zaakceptuje payroll check
tego gastronomo)

niosłem z sobą Blue Ribbon Pabs olimpijskie
piwo
tego zrozumieć nie można gdy się raz nie wyjechało
z Kraju
bardzo chciałem być tym człowiekiem który za
noszenie
pistoletu może w każdej chwili wyjechać do innego
kraju
na przykład do mojego
gdzie otwarta kabura wcale nie oznacza wolności
a raczej lęk
szedłem z kolegą który kupił czołg gaśienice zmienić
musiał na gumowe
aby nie niszczyć dróg asfaltowych podatników
(kolega ma już paszport i może do Kanady)
gdy spotkaliśmy go idącego środkiem ulicy
był Biały
a może Czarny mundur skrywał skórę
i nagle pijany traffic oprzytomniał a znaki
stopu
nabrały kolorów czerwieni który oznacza tutaj uwagę

szedłem
więc z tą olimpijską butelką bluesa
i poczułem
że chcę być policjantem
po latach
nauki nienawiści wobec każdej policji
chciałem
poczuć na biodrze kaburę pełną
słońca
otwarty nagi pistolet

oni pojechali do Las Vegas wyparli ich
purytanie
ze Wschodu koniecznie chcieli
przykryć
kabury pizdeczki sutki i te wszystkie
drogocenne
życia sprawy których przykryć naprawdę nie można
jak śmierci
i właściwie nie wiem dlaczego w ramach resocjalizacji
urodzin i pogrzebów nie uznano za
pornografię
pośród nich ostatnich gamblersów Kentucky
chciałem
zostać policjantem ich umundurowanym aniołem
który strzeże
wielkiej bramy małej pornografii na przydrożnej lampie
śmierci

być policjantem w pobliżu Monmouth Street gogo dancers
lękiem
być chciałem dziewczyn które za jednego dolara
robią deal
daj tego jednego to się odczepią
bezinteresownie

najgorsze nie czułem wstydu

małe samopoczucie w małym miasteczku

w George Town to jest trochę
dalej niż sięga moja uwaga
nie czuję się wcale mniej obco

ani komary wielkości ważek
ani wilgotność 96 stopni w skali
nie wytrącają mnie z uwagi

News są wciąż Dziennikiem
airconditioner wiatrakiem
a Gdańsk bliżej niż Nowy Jork

What is your nation? Are you Polish?

– pytają zatrwożeni czy aby
nie wpadli na radykalistę

– piszę te słowa na prowincji
największej w świecie prowincji
oddzielony od świata

wielką taflą szyby
którą cierpliwie
niosę wszędzie gdzie wiedzie mnie los

Stancroft Farm 1983

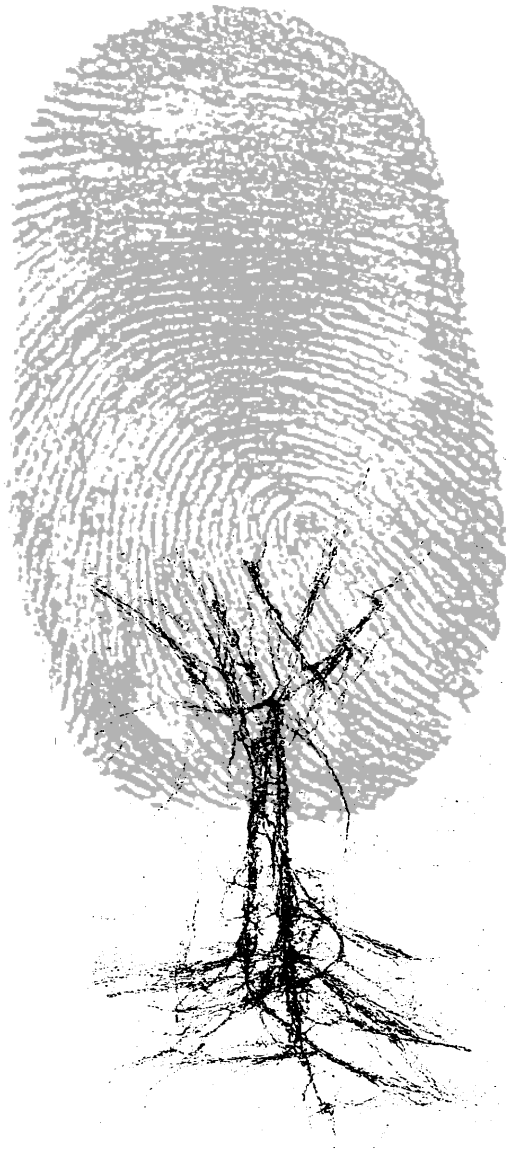
noc ustępuje

a przecież wciąż jest lęk w tym rannym konaniu nocy
a przecież jest strach w tym tryumfalnym krzyku młodych
ptaków zbudzonych pierwszym zwątpieniem nocy
i jest strach nietoperza złapanego
w pierwszy promień słońca

jest lęk w mowie dwojga ludzi co nad ranem
raczej szepczą niż mówią
jest lęk w twarzy nocnego obwiesia
który chyłkiem się skrada do domu
i nagle twarzą w twarz staje
przed równie przestraszonym mleczarzem

lęk zaskakuje niedoszłego samobójcę
i dusi go bardziej niż nie dociągnięta pętla
sznura który jak promień słońca

wybuchnie za chwilę w obraz pełen rzeczy
i w zmaganiu się siły z siłą zginie strach
na chwilę jedną dzień jedyny
na odpoczynek udręczonemu
na udręczenie udręczającym
na chwilę jedną zegara
który raz jeszcze nie stanie



cztery tematy
(1991)

krab

*There is an animal inside me,
clutching fast to my heart,
a huge crab*

A. Sexton

mam
mam serce
jestem człowiekiem i staram się
myśleć o sercu o tyle o ile jest to konieczne
dużo ważniejsze
jest coś innego we mnie
jest we mnie
w środku wielki krab
znaczy więcej niż ten słynny mięsień

ten krab
jak brat jest
na każde ściśnięcie
odpowiada ściśnięciem i jest dobrze ukryty
jak ja
nie widać go
nie można zobaczyć i mnie
tylko czasami chce
wyjść i uwolnić się do mnie
tak jak ja
chciałbym oswobodzić
się od niego lecz wiem nikt
nie chce się z nim zaprzyjaźnić
więc wraca do mnie i znowu ściska serce
moje biedne umęczone serce
czasami myślę
o jego sercu – jakie jest
czy samotne i jak mocno musi pracować
aby dalej trwać – aby krab mógł być – i ja
bez tego kraba
trudno byłoby mi żyć
gdyby umarł we mnie to może
poczułbym się jak Pan Bóg któremu
umarł człowiek

to

to tylko na początku
wydaje się końcem
potem już jest tylko punktem zwrotnym
z w r o t n y m
(warto usłyszeć co słowo to znaczy)
wcale nie upadkiem np.
albo nową drogą

ktokolwiek wspina się po schodach życia
z trwogą spostrzega
że zmierza ku upadkowi

i upadnie
jeśli zatrwożony w połowie drogi przystanie
i jeszcze przed śmiercią znieruchomieje

do śmierci trzeba się wspinać
i użyć wszystkich życia sił
trzeba siebie pokonać i przekonać
i żyć i unosić się ponad własne ramiona

zwrotny to punkt gdy już skrzydła
jak ołowiany ciężar w dół
pociągną ciało i zrozpaczoną duszę
a na dole znajdziesz po prostu ciszę
– pojdziesz albo się przestraszysz

jeśli pojdziesz to choć umarły
przeżyjesz

wieczór

to ukojenie to mgła osiada
na krzewach zapalają się gwiazdy
między domami rozbiegają się głosy
ciała na chwilę milkną

milkną krzyki zieleń traci
na kolorze koty wpadają w trwogę
źrenice im nabrzmiewają coraz więcej
miękkości w ich chodzie

zbliża się ciemność wilgotnieje
powietrze wiatr ustaje na chwilę
w wełniany koc zawija się Bóg
zamiera ptasi świergot

od zachodu nadciąga eksplozji
odgłos wybuchu noc

– boli

żeglowanie

mija dzień tydzień rok
kot się starzeje w domu
po kryjomu okulary wkładasz
badasz zatarte litery

już nie podejrzewasz już wiesz
będziesz do końca podróżnikiem
przypadkiem tylko odkryjesz

tajemniczy niewyraźny
list który zaoferuje ci prawdę
kartę czynów własnych

i

zamyślenie i postanowienie
żeglowania aż wiatr ustanie

Ćma

Cheryl

w moim pokoju jest wiele
pięknych rzeczy
są piękne drzwi i kształtne okna
i miodowy dywan na którym kot śpi
jest cień słońca co na ścianie
pisze dziwne wyrazy
są rośliny i lampa i obraz
czerwona kanapa kruchy świecznik
drabina i kaloryfery które się
rymują... i wiele innych
skończonych w pięknie bytów

na tym tle ćma się miota
szara bura oślepiąca
światło jej źrenica
rozpruwa

a ja? – patrzę obserwuję
zapisuję
a ona? – nic nie rozumie

piękne ptaki

Jurkowi Limonowi

piękne jest słowo które
rzecz opuści i poszybuje
w niebo ptakiem pełnym skrzydeł
radosne jest skrzydło
które na niebie ptaka
porzuci ptak wróci na ziemię
i w pióra się rozmnoży i w nuty
przebudzenia się ułoży

piękne jest wtedy wołanie
o wolność i miłość
niezależne od kamienia
konieczności

który spala ptaka nim
się wzniesie

ograniczenia

mój język jest zbyt krótki
nie sięga przedmiotów nie sięga
horyzontu rozplywa się w świetle
tuż za moimi ustami

moje pióro pisze cienkie linie
nie umie rysować obrazów
zacina się gdy ma wyjść
poza stronę tekstu

ręce moje drżą stają się niepewne
utrzymać nie mogę ciężaru rzeczy
złożonych na miękkich opuszkach

moja miłość boi się
onieśmielona bogactwem rzeki
w której płynie

a jednak milczenia nie zniosę
bo to jest to
co znoszę najtrudniej

parasol

więc żeby dorosnąć
trzeba się zestarzeć?
– tak mówi ironia
i żwawo krząta się po domu
ścierając z mebli kurz
a ja za nią gonię i kawę parzę
(zrobiłem herbatę – pomyliłem się –
lecz udaję że tak miało być)

potem podlewam kwiaty
(a niech zestarzeją się też)
wyjmuję spod poduszki wytrych
otwieram drzwi
a tu deszcz

parasol w szafie się otwiera
a w progu stoi ona
i uśmiecha się
że niby lepiej jest
niż ja wiem

idę zatem za jej pewnością
pospiesznie nim zwątpię
nim zląknę się
i sięgnę po parasol...

(rozumiesz co mam na myśli
jeśli w ten sam sposób dorastasz
a nie tylko starzejesz się)

dwoje? pojedynczo?

a jednak zasypiam dzisiaj w miłości
ryby płyną powoli
głos ciszy jest bezgłośny
ty już śpisz a ja jeszcze czuwam
aby usłyszeć głosy
nietoperzy
aby powiedzieć że tak
że słyszę
że nie jestem leniwy
że są gesty
że zostaną wiersze
a może nawet tchnienia słów

lecz nie wiem i to mnie niepokoi
czy byliśmy dwoje
czy byliśmy pojedynczy

a może
obojga nas brakowało
na statku
który nie umiał zatonać

słyszę twój głos na poduszkach

słyszę twój suchy oddech
prawie się wzruszam choć
wiem to nie twoje płuca ani oskrzela
ani nawet gardło

to nie przeziębienie ani gorączka
ani powiew śmierci
to raczej oddech życia
porusza
i spać nie daje
i każe

pisać znowu
o tej zupełnie niejasnej jasności
która ciemnieje we mnie
oczom kolor zabiera
kruszy kości

kiedy budzę się pełen strachu
i widzę że jesteś obok
pulsująca krwią obcością
zapachem
wiem na pewno
że znowu nade mną miłość
góruje

dwa skrzydła



dwa skrzydła

widziałaś moje ręce
obie są nieduże
przykryć mogą co najwyżej
dwa kamienie

nie widziałaś tych kamieni
tak jak i ja
kiedy pod skórą dłoni
czuję dwa odległe kontynenty

ja tylko poczułem
moje ręce nie mają oczu
czy dlatego muszę iść
przez oceany niewidomy

spotkałem ciebie może raz
ale poduszka pali mi policzki
od tamtej nocy nieustannie

pod moimi dłońmi
czuję dwa skrzydła
miotające się jak ómy

myślisz naprawdę
że to są kamienie

krótkie pożegnanie Elis

już prawie nie śpię
już prawie nie żyję
tylko jeszcze nawyk życia
we mnie trwa

jeszcze piszę w miarę
kształtne litery
jeszcze sprzątam dom
i czytam inne pamięci

już nie dbam że wy że oni
już myślę tylko ja
jeszcze chcę się przespać
aby nabrać na chwilę sił

upadam, daję wszystko z siebie
dłoń wyciągam na przywitanie
choć wiem że to pożegnanie

budzi mnie słoneczny ranek
pościel mokra i słona
wiem
– nie nadszedł śmierci
koszmar
jeszcze raz jestem nad nią
ponad

pytanie retoryczne do Elis

wczoraj widziałem ciebie
w lodach Morza Zimnego w bryle
mroźnego kryształu
leżałaś łagodnie
wiedziałem
że w pozie oczekiwania

na statku zapanowała panika
majtkowie pośpiesznie przecięli cumy
poczułem że dryfujemy
a ty z nami
a jednak oddalałaś się niedostrzegalnie

nikt nie wiedział jak to jest możliwe
że będąc w jednym nurcie
płyniemy w różnych kierunkach
i kto
płynie w stronę mórz południowych

zająłem się dziennikami
podróż trwała tysiąclecia
nie mogłem zrozumieć że tyle czasu żyję
wtedy przyszedł wiatr i ukołysał mnie do snu
i miałem dziwny sen

poczułem ciepło które przyszło do mnie z góry
moje ręce i nogi i całe ciało
jakby delikatnie się uśmiechnęły
czułem
że na mnie patrzysz

powiedz słodka Elis – kto
kto był w tej krystalicznej klatce
a kto stał na burcie po zawietrznej

dziękuję tobie Elis

za twoje przenikliwe oczy i nieprzejrzyste łzy
za spojrzenia tam gdzie ja sięgnąć nie umiem
za twoje ciało za dłoń twoją
tak niedaleką za obecność
za

te wszystkie szkła i cienie
o których wszystko wiem za opór pod ustami
za przebarwienie nad twą górną wargą
i za przeistoczenie cierpienia w życia głód
za

twoją obecność gdy już na pewno wiem że jestem sam
i pozostał tylko sen za konieczność mi od ciebie
daną za moją nieobojętność za to jesienne
przejaśnienie za to że właśnie bardziej
trwam

za zdrowy popołudniowy Pana Boga sen
za to że twoje oczy czynią ten sen
za to że jestem
za to właśnie

–

przestaje boleć

Elis Niespodzianka

znowu przyszyła mgła
a ona – ta nigdy nie opanowana
rzeka słów krew zalewająca krtań
śmieje się do mnie i

serdecznie chwyta mą zziębniętą dłoń
skostniałe palce grzeje
pełna słów jest blisko

ma imię i rodzące ciało
płonące skrzydła
rozpala zgaszone ogniska
popękane lody scala

ocala dzień nowy i ledwie
następny a już wiem
pisze we mnie
nowy wiersz

nigdy nie napisany
choć rymujący się w szeleszczącym
piasku w dźwięk

pokaleczony poszarpany:

my dwoje

Elis, tam

tam na drugim końcu
codziennie tkasz żagle
które tak bardzo by się przydały
na poszarpanym wiatrem okręcie

wieczorami piszesz listy
o tym co robiliśmy będąc
razem na tej wyprawie
która mnie zagnała
na opustoszałe morze

córce opowiadasz o krajach
pięknych łądach które odwiedzam
zaszyty w kącie mojej kajuty
na krańcach możliwego świata

czasem – tam – płaczesz
a ja nie wiem już czy to
wiatr hałasuje pomiędzy porwanymi
żaglami
czy to dźwięki
kraju do którego jeszcze nie wróciłem

Elis mgła

Elis to mała dziewczynka która coraz
i coraz bardziej dorasta
ona wszędzie jest ma słodki głos
przychodzi na myśl najczęściej
gdy już prawie śpisz lub gdy już
spać nie możesz
czasami ze środka snu
krzykiem wyrywa

zawsze chowa twarz choć zawsze
kogoś bliskiego przypomina
śmieje się beztrosko lecz
gdy śmieje się
lęk ogarnia czy nie łka

gdy budzisz się spostrzegasz
że to tobie powieka drga i twoja
poduszka jest mokra
bo ta mała dziewczynka
(ona wciąż dorasta i dorasta)
nie powinna płakać to boli
gdy niedorosły człowiek
skarży się a ty możesz powiedzieć
tylko sza... sza... wiedząc
że siebie uspokajasz sobie
dodajesz sił a krzyczącemu
nie pomagasz
pozostajesz zatem bezsilny gdy
tej mgły przychodzi obłok
myślisz nie ma Elis
nie ma jej
a to drgające jeszcze powietrze
to tylko twoje przywidzenie

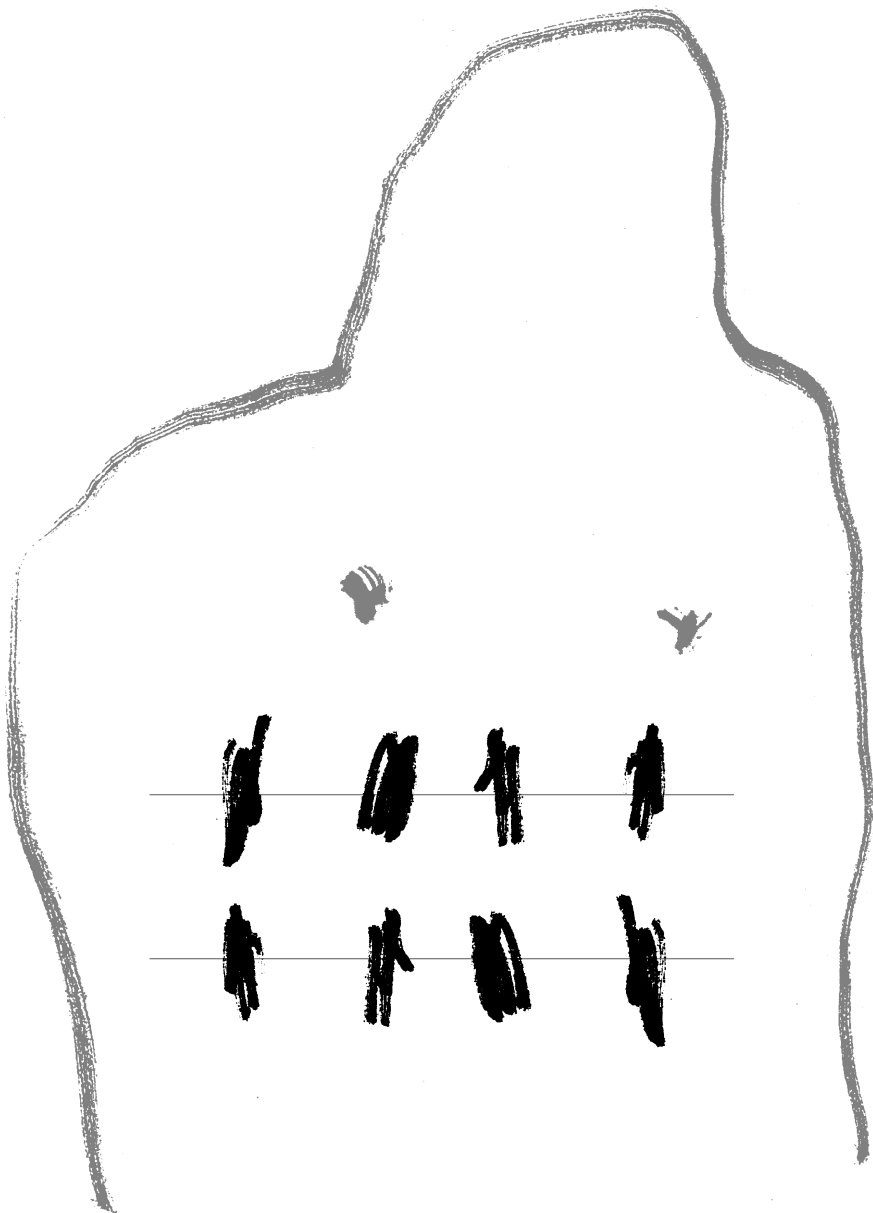
0 Elis

droga moja
było bardzo trudno
Morze Sargassowe to pułapka
trzymałem cały czas linę
której mi pilnowałaś u wyjścia
zbliżamy się do Morza Zimnego
wiem że umrę w miłości

wiem że utkniemy w lodzie
że nasz statek zamarznie
że oddechu nie starczy
uśniemy w półgęście

lecz trzymaj linę droga
bo tam na drugim biegunie liny
nasz pokładowy głupek
Boga spostrzeżł

ale ja i ty wiemy
to co zobaczył to
zorza białej nocy miłości



pestki, korale
- słowa do nawlekania
(1998)

Śmierć Amazonki

Tego sobie wyobrazić nie można
a jednak przez ten obraz muszę przejść.
Wejść w absolutną straszną czerń,
stać się światłem, które wyjaśni tajemnicę.
Oświetlić muszę siebie i obraz muszę,
aby wyjść z ciemni,
aby obraz zajaśniał kolorem.

Nigdy nie wiedziałem, że jest we mnie tyle pamięci,
że zastygło we mnie tyle wapna, węgla, rudej siarki,
że na zawsze odcisnęły się tajemnicze znaki
jaszczurczej, małpiej i człowieczej myśli,
że tyle śladów żywej skośnookiej śmierci,
która wcale nie błyska okiem radośnie,
gdy żniw przychodzi okres.
Nie wiedziałem, że jestem twardą skórą klonu
a jednak czuję najdelikatniejsze drgnienia
zielonych listków będących tam u szczytu.

Nagle poruszony, choć jakże zastygły,
oderwał się mały łupek krzemu z mojej góry
i zobaczyłem kobietę – dziewczynkę – może Amazonkę
zupełnie umarłą – umarłą na pewno.
Nie mogłem przypuszczać, że wiedza
przyjdzie niepotrzebnie i będzie jak sucha skóra,
jak wiór dawno już ściętego drzewa;
że kora będzie słyszeć, a młody pęd
będzie zagłuszać własną piosnkę,
że ogarnie mnie wstyd, gdy przypadkiem
dotknie mnie delikatny liść;
Wstyd będzie mi, że ja wiem a on nie,
że jest porażony, skazany na śmierć

i spadać tylko może dodając się z innymi,
mnożąc pokarm dla korzeni,
których początkiem jest.

Ten liść spadał bardzo wolno.
Tak spadać można było tylko z przeszłości.
Słyszałem jak szeleści, jak krzyczy, jak opada z sił,
jak zdziera z siebie zielen i...
nic uczynić nie mogłem.
Nie mogłem powiedzieć liściu jesteś liściem,
nie mogłem otworzyć mu skrzydeł,
nie mogłem nawet obciąć ich.
Ledwie więc tylko uchyliłem się,
może lekko odetchnąłem, aby uspokoić liść,
że wiatr jest, że powietrze jest,
że nie zabraknie tlenu ani azotu
i podziwu dla tego, co podziwiane winno być.

A ona, choć mijały ery i epoki,
choć na nowo powstawały skały,
nic nie robiła, jedynie piękne gesty.
Jej krzemowe kształty nie traciły treści,
była pełna barw i jednocześnie jednobarwna
– chyba w odcieniach wody.
Tak była czysta i niebieska.
Patrzałem na nią jak na czas przyszły,
który nigdy nie istnieje, jeśli wcześniej
nie okiełznasz czasu przeszłego.

Próbowałem pieśni.
Otworzyłem usta, lecz głos wydobyłem
niedosiężny dla skamieniałego ucha.
Próbowałem światła,
lecz źrenice odbijały a nie pochłaniały barwy.
Próbowałem być gdzieś w środku,
tak jak jest niby czas terazniejszy,
ale takiego czasu nie było,
choć był tam pewien ruch,

a też kolory i pomiędzy nimi tajne związki,
a może nawet były tam zwierzęta.

Byłem gotowy zapaść się w przepaść bezczasu
a jednak nie mogłem.

Wezwałem konie pełne piany w chrapach,
koty, jeże, dzikie kojoty, najbardziej złośliwe mrówki.
Sam starałem się przyoblec w kolczastą skórę,
stać się kamienistą górą, spłonąć czystym ogniem,
wodą popłynąć i nie patrzeć wstecz,
gotów byłem pozostać w piekle, albo przejść je.

Naprawdę nie mogłem pojąć, że ona umarła,
nim narodziła się; że choć jest pełna ruchów i gestów,
jest nieżywa.

Że tylko z pieśniarza jest, który w czerń absolutną wszedł
aby oświetlić siebie i obraz,
aby wyjść z ciemni, aby obraz zajaśniał kolorem.

(tu się kończy zasadniczy tekst)

Wyszła z krzemienia osłabiona,
wiotka, blada, jak może być tylko zmarła.
Usiadła na ławeczce łódki, wzięła w ręce wiosło,
zanurzyła w falę
a woda zatoki popłynęła ku mnie bezgłośnie.
Najpierw zajęła mi stopy.
Potem kolana, biodra, pępek,
oblała chłodem mostek.
Około ust bardzo się bałem,
potem już jak sama woda popłynąłem za łodzią.
Wiedziałem, że ona jest w łodzi
i że robi się coraz jaśniej.

Wtedy dopiero zobaczyłem cały obraz.

Nie pytaj mnie o chorobę

Andrzejowi Ż.

Tylko proszę nie pytaj mnie o chorobę,
gdy piszę: umieram konsekwentnie i zdecydowanie.
Choroba nie ma nic do rzeczy
ze zdeptanymi lalkami, z brakiem gwiazd
na niebie, z kotami, którym ślepną żółte oczy.
Śmierć jest doskonała,
gdy milknie ostatni akord baśni,
jest doskonalsza jeszcze na ostrzu
ostrego noża – jest centymetr (lub milimetr,
to nie ma znaczenia) za linią horyzontu.
Jest w każdym pustym miejscu w tobie.

Boję się jej jak diabła,
jak złamania kolana,
jak nieodwzajemnionej miłości,
jak pustej ramy, która pomieści wszystko.

Nie pytaj mnie o chorobę.
Choroba to sprawa cierpienia,
ból w kościach,

niewyraźnego druku w niezwykle interesującym tekście.
Choroba to jasna szczelina, którą można zaszyć,
to kreska ołówkiem – można ją czasami zetrzeć.
To być może pewien plan śmierci.

Ale ja piszę wyraźnie:
Spadam z nieba,
odpada mi głowa,
łamię mi się włosy.
Słyszę ciszę.

Nie pytaj mnie i nie odgaduj
jaka to konwencja, jaki styl.

Czym mój list by był,
gdyby dodać mu trochę soli, gdyby
nie w kopercie, ale w skrzyni przyszedł.
Jakie znaczenia mają inkrustowane napisy.
Nie łudź się, że napisał to on...
Osoba Trzecia, Liczba Pojedyncza.
Może tak właśnie wita cię miecz.

Mój przyjacielu, czuję się dobrze, na zdrowie nie narzekam. Właśnie
zbliżyła się wiosna w przyrodzie. Jest pięknie, tak że nie musi
interweniować bóg. Wszystko doskonale się układa. Elektrony płyną we
właściwym kierunku.
Piwo pieni się, zdjęcia żółkna, żony jak dojrzałe śliwki spadają. Jamniki
wydłużają się.

Ale otrzymałem od ciebie list.
O co ci chodzi, gdy prosisz:

Tylko o chorobę nie pytaj mnie.

Samotność

Edwinowi

Samotność jest jak pestka,
choć w środku mięsz,
na zewnątrz upiera się przy swej twardości.

Wędrowiec z Krainy Do

Wędruję.

Pytają po co wędrujesz? Dokąd zmierzasz?

A ja im nie odpowiadam i idę dalej.

Zbyt długo trwa moja podróż, abym mógł się wytłumaczyć.

Mijam domy pełne dziecięcego jazgotu,
jadłodajnie, hulaszce karczmy i burdele.

Idę i trzymam w dłoniach tobołek.

Zatrzymują mnie kusząc poczęstunkiem,
kieliszkiem wódki, świętem, noclegiem.

Ale ja idę.

Trzymam w dłoniach tobołek.

I oto razu pewnego spotkałem starca.

Spojrzał bladoniebieskimi oczyma

i spytał nie dokąd zmierzam,

ale co mam w tobołku,

który z takim uporem trzymam w rękach.

Przystanąłem, bo zaskoczony uświadomiłem sobie,
że nie pamiętam, co mam w moim zawiniątku.

Szczęśliwie jednak przypomniało mi się,

że w tobołku niosę miłość.

– Miłość? – zapytał starzec.

– To niewiele jak na długą drogę.

Wtedy poczułem się

jak cień na ścianie z koszem malin,

których nigdy nie da się zasmakować.

Od tego czasu każdy krok stał się miłą,

a każdy zakręt zaczajoną niewiadomą,

i już nie jestem pewny, co mam w swym tobołku,

czy na pewno miłość, a może tylko garść

zasuszonych nasion dzikiego zboża.

Mój ruchomy dom.

Anne Sexton z pomarańczą

Anne Sexton siedzi w fotelu,
ma podkurczone nogi,
usta zaciśnięte myślą,
w rękach trzyma nadgryzioną pomarańczę.

Nagle spogląda na mnie i pyta:
Dlaczego nie czytasz jakiejś książki?
Myślałam, że kulturalny człowiek
każdą wolną chwilę spędza na lekturze.

Usta jej ponownie się zaciskają.
Po brodzie spływa kropelka soku.
Okrywa się szczelniej kocem
i sama odpowiada na postawione pytanie.

Nigdy nie czytałam książek,
nigdy nie byłam kulturalna,
książki zjadałam stronę po stronie
a papier stawał mi w gardle.

Plułam papierem, słowami, sylabami,
wymiotowałam nieprzeżutą tekturą okładek,
wpadałam w ekstazę myśląc,
że dusi, dławi, ciśnie mi się w gardle prawda.

Aż raz ugryzłam pewien owoc,
kwaśno-słodką nieobraną pomarańczę.
Wściekła wgryzałam się w jej wnętrze
i nagle poczułam gorzkie kamyczki.

I wtedy zrozumiałam: W książkach nie ma pestek
i choć szukałam przede wszystkim nasienia,
ze stron rodziły się tylko nowe strony,
a papier i tektura nie miały ani krzty wilgoci.

Teraz, od tamtego czasu, czytam tylko pomarańcze.
I nie stają mi w gardle słowa i sylaby.
Siedzę sobie na fotelu, mój kochany,
i wybaczam ci, że nie czytasz książki.

1996

Ta kobieta ma na imię Gdańsk

Obok leży gazeta, osobisty dziennik
a też różowy rachunek pokreślony
czarnymi literami, jakby kartka była popękana,
przykrywa stare zdjęcie, może dagerotyp.
Do kompletu dwie ręce
leżą delikatnie osiadłe na stole
a jednak gotowe zaraz odlecieć
jak miejskie gołębie.

Trwa rok 1995,
rozwija się kwiecień,
krótkie spodenki wiosny
ledwie zazieleniają trawniki,
białe rękawy koszuli opadają na pięści historii
– otwierają się ręce
wilgotne, ciepłe z odbitym wzorcem paznokci.
Facetowi z Zasp
mija czterdzieści pięć lat.

Jest młody – tak mówi młodsza od niego kobieta,
która śpi na zimowych białych dachach
i której czerwień ust znajdziesz latem
na obrazie z lotu ptaka malowanym,
pełnym płonących dachówek.
Jest młody, mówi nie do zdarcia wyobraźnia,
przywołując ledwie co
przeszły przyszły czas.

Przez otwarty balkon odbywa się marsz.
Idą do drzwi,
aby wyjść, aby znowu przyjść,
aby znowu zamknąć w cykl przestrzeń:
drzwi, balkon, cmentarz, drzwi...

Niosą sterty maszynopisów.
Nie można oderwać spinaczy,

bo kartki zaczynają krwawić
zostawiając dziwne znaki
krzyży, czołgów, miłości, śmierci...
Nie wiadomo co znaczą, bo to nie słowa
ale właśnie znaki.

Nie obrazy pełne jasnych i oczywistych
kresek, walorów, cieni i zagięć,
spięć pomiędzy nastrojem a ręką twórcy.
Nie obrazy, które jeśli stanąć daleko pęcznieją,
ale gdy ręka blisko trzyma,
są po prostu zapisem koszmaru i trwogi.

Śpiewa córka Cohena,
kołacze miejska (trójmiejska) kolejka.
Miłosz i Sexton w kuchni
wyposażonej w meble „Gdańsk”
leżą obok siebie upchani.
Zduszeni, kartka po kartce
łapią oddech.
Ratuje ich syk wiatru
– od czasu do czasu wdziera się
przez nieszczelne okno.
Wiersze przemieniają się w kolorowe
balony lub bomby.

Z kuchni przez okno
raz po raz wyfruwa zielona kartka,
czernieje zaraz za oknem.
Jest chłód i wilgoć.
Słysząc groźny pomruk.
Z parapetu spada
cieniutki płatek węgla.

Tak wiem, Anne Sexton nie żyje od lat,
Miłosz za Atlantykiem słucha swych pękających
brwi.
Anne może nigdy nie słyszała o tym mieście,

Miłoszowi pewnie Gdańsk kojarzył się z Sopotem.
A jednak oswoiłem ich tu.

Ma za sobą ciało
i gorączkę wewnętrzną, i kota,
konstelacje roślin doniczkowych,
swój dom,
długopis i papier
(ten różowy na czarno popękany rachunek),
mam cichy oddech dzieci,
i miejsca, gdzie bezpiecznie przychodzą sny,
lecz przede wszystkim za mną stoi
Miasto.

A jednak boję się,
że to miejsce, pełne gwaru
na siostrzanym szlaku północnych miast,
na zawsze pozostanie samotne,
nawet gdy po raz ostatni zapłonie
pałac i te pisane teraz przeze mnie litery.

Lękam się, że miasto zginąć musi
niosąc przez wieki i przez tysiące ludzi
żar nie do ugaszenia buntu,
wiecznej pogardy, wiecznej dumy
i zapali się kiedyś wielka pochodnia
wieży Kościoła Mariackiego,
zapalą się podwójne litery
szyn kolejki podmiejskiej,
na sto godzin stanie się czerwone
powietrze.

I wszystko szczeźnie,
obraz w dagerotypie zszarzeje,
potem się dagerotyp rozwieje
a ślad po nim zniknie.

Mnie już wtedy nie będzie.
Mija rok 1995.

Mam czterdzieści pięć lat.
Obok na białej pustyni
śpi i lekko chrapie młoda kobieta.
Ma długie nogi jak Gdańsk,
pełna jest ciepła,
jeszcze na jej pełnym obiecań wzgórk
gołąb z gołębicą toczą spór,
ramiona rozlewają się w portowe kanały,
palce sięgają morza
i choć jest gorąca, jeszcze nie płonie.

Kot patrzy na nią i na mnie.
Pyta, co ona niesie – życie czy śmierć.
Co odpowiedzieć, jeśli w tym obrazie
widzę dwa znaki zapytania:
datę i podpis.
Nie widzę koloru wieczności.

A o wieczność pyta mnie Jim Milillo
z Cincinnati,
Anabelle tańcząca mazurka w Ohio,
Adzik Zawistowski piszący romans kryminalny,
Jurek Limon piszący od nowa historię,
Niemiec z Turcji, Żydówka z Przymorza,
Katia Szenderowicz – młoda dziewczyna
jako staruszka wracająca z zesłania.
Pyta moja córka urodzona na Kartuskiej,
schizofrenik – ogrodnik z Polanki,
nieufna Krystyna ciekawa,
czy piszę wiersze o Bogu.

Pyta śpiąca bohaterka tego wiersza,
krzyczy i śmieje się, i przerywa
delikatną tkanę wersów, i wychodzi
z tekstu – właśnie jak to miasto
realne i niewidzialne
– ciepła, pachnąca a jak duch przejrzysta.
O wieczność pytają mnie turyści,

o wieczność do przodu i tyłu,
wszyscy ci co stają przed lub za
starym domem szukając wróżby.

Ja im nie odpowiem, bo nie wiem,
bo nie da się ułożyć prognozy,
gdy obok ciebie leży gazeta,
róża, dagerotyp, parę przyjacielskich
oddechów, wiatr znad zatoki,
długopis, moja ręka i ta kobieta otwarta
jak najważniejsza ulica Gdańska
dla każdego, kto umie w niepojęte wejść
bez strachu
i stać się szarym gołębiem miłości,
małą niespostrzegalną szparą
pomiędzy niepoliczonymi szczelinami miasta.

1990–1995

Widziałem dzisiaj spadającą gwiazdę, widziałem dzisiaj rozdartą
pojedynczą trawkę, widziałem czerwone oko piekła, widziałem
dom po pożarze dnia trzeciego, widziałem moją kotkę
– spadała z balkonu, widziałem moją córkę modlącą
się za ojca, kulę ziemską widziałem nade mną,
kałużę krwi wytoczoną z cienia, widziałem
balię pełną brudów, ropuchę drapiącą się
po ścianie słoja, urwaną w połowie
błyskawicę, tron bez króla
i miękkie paznokcie,
widziałem dom
bez okien

i nagle zobaczyłem twoje oczy

czy

to twoja dłoń

przymknęła mi powieki, dłoń

jak pomost, jak ożywczy akwedukt, jak

cierpliwy promień słońca, jak upór serca

walczącego do znużenia, jak miękki powiew, co

dolinę uspokaja od końca do końca, jak tysięcznie

posplatana lina z niekończących się nitek, jak matka,

jak deszcz, który już nie pada a tylko wilgotnością jest,

jak migotliwe światło w czerwcową noc nad Gdańskiem?

Nasze dzieci

Rebecce i małej Danieli

Są samotne od pierwszego oddechu.
Nie krzyczą z bólu, lecz ze strachu.
Próbują się czegoś ucześcić,
znaleźć stały punkt.
Zaciskają z całych sił piąstki,
lecz chwytają tylko powietrze.

Krzyczą, lecz krzyczą nie z bólu.
Choć są samym bólem, który wyrósł
z naszej miłości.
Już wiedzą, że żyć muszą całe życie
i naszego strachu przenieść chorągiew.

Próbują się czegoś ucześcić.
To może być deska ratunkowa
ich drewnianego łódeczka
lub ciepła pierś matki,
albo ręka tego obcego
mówiącego w dziwnym języku.

Zaciskają z całych sił swe piąstki
w nadziei, że uchwycą coś, co je ocali.
Że będzie to poręcz na całe życie
lub miłość, która nigdy się nie skończy.
Ale przez ich delikatne palce przepływa
tylko promienne powietrze...

Promienne! Bo one, nasze dzieci,
choć o tym nie wiedzą, są światłem,
które wszystko może rozpalić
a na pewno powietrze wokół nas,
odwykłych od jasności na co dzień.

1995

Shoshannah

Mały Hiob ma na imię Róża.
I rzeczywiście
w ustach trzyma cierpliwie różę.

I choć go kłuje, nie przegryza
jej delikatnych kolców.

1995

Do mojej córki chodzącej ulicami Cincinnati

Rośniesz tam, gdy pada śnieg,
gdy deszcz, gdy za oknami słyhać
przeciągły zgrzyt hamulców, gdy
dzień w dzień słońce zachodzi
aby znowu wzejść, gdy obcinasz włosy,
gdy wydłużasz sukienki aby zatrzymać
wynoszące ponad chmury nogi, gdy

list otrzymujesz w dziwnej angielszczyźnie
gdy tłumaczysz, że to o miłości,
gdy Bóg znaczy Lord, gdy znaczy Pan, gdy
God rozumiesz ostatecznie znaczy On.

Rośniesz jak zielona wiosna,
jak wieża Babel powiększasz się
i czujesz, że pomiędzy jawą a snem jest przepaść,
że nie jest to most co łączy rozdzielone,
że dystans pomniejszyć tylko może miłość albo śmierć.

Rośniesz (po pewnym czasie inaczej nazwiesz to)
i przybywa ci tkanek i uporządkowanych myśli,
stajesz się jak unoszący ramię w górę stalowy dźwig,
nadziwić się nie możesz, ile unieść potrafi
ten żuraw, żywy mechanizm, który nie umie
przystanąć, gdy nawet już wie,
że podnosi za dużo.

Rośniesz, jeszcze nie wiesz,
że miłość to ciężar, który ciebie też poniesie
i też złamie, odwiedzie od śmierci
i do niej zbliży,
ciebie niedostępną dla mnie.

Nitka

parafrazując Anne Sexton

Moją wielkiej miary miłość powiesiłem na nitce,
na nitce wielkiej miary uporów.
Na nitce wiary.

Codziennie rano nitka lśni kroplami rosy.
A ja boję się, że to zbyt wielki ciężar,
że rosa nie lśni, ale wisi,

że zerwie ją byle jaki wiatr, podmuch, krzyk,
że moje słowa są zbyt głośne,
że naciągają zbyt ciężko,
że może zbyt ciężka jest waga mojej wiary.

Patrzę więc z boku, mrużę oczy,
bo też wzrok zbyt ostry może być,
drżę i drżenie powstrzymuję,
aby powietrze nie rozedrgało się
i nitki nie zerwało.

Otwieram powoli oczy.
Nie ma już na nitce rosy,
a jednak błyszczą, lśni.
Nie wiem czym.
Może blaskiem miłości wielkiej miary...

Czy jednak i nitka o tym wie?

Sfinks, który mówi

Sfinks musi budzić grozę,
bo milczenie jest straszne człowiekowi i obce jego naturze.
I właśnie dlatego nie powiem, że budzisz we mnie strach,
jak Sfinks, bo jednak mówisz.
Bo twoje dłonie tryskają strumieniami czułości,
bo usta płyną nienasyceciem,
bo ciało twoje wydaje roje głosek
i rodzi wilgotność.

Niepokój mój budzą twoje słowa. Są niepewne,
niedokształcone, jakby nie nasycone,
jakby nie miały dobrego kontaktu
z twoimi nabrzmiętymi ustami.

Mówisz je czasami jak osoba niema,
lub raczej głucha, która uczyła się żmudnie kształtu ust
przy wymawianiu głosek okrągłych, płaskich, wybuchowych
a nauczyła się przede wszystkim zwartych,
no, może też zwarto-wybuchowych.

A jednak, bardzo mnie to dziwi,
nawet gdy tylko otwierasz usta do powiedzenia,
słyszę nie wyartykułowane dźwięki,
słyszę muzykę słysząc ledwie jeden dźwięk.
I wiem, i nie myślę się,
wiem – jednak brzmi harmonia.
To z twojego tak boleśnie zdejmującego suknie słowa!

Lecz czy nikt ciebie nie nauczył,
że słowa nie boją się słowa,
ciało nie boi się ciała
i że całość chce całości?

Lecz ja jestem okręt

, lecz ja jestem okręt. Nigdy
nie stoję. Zawsze, nawet na gładkiej
powierzchni oceanu, kołyszę się.
Stojąc w porcie płynę.

Mój żagiel zawsze, choćby zmyślnego powietrza
był pełen, napręża się aby zdać egzamin
nawet w niespodziewanych sztormach. Pełen
łęku gotowy jest przyjąć uderzenie i je wytrzymać.

Fali jestem gotowy znieść największej atak,
potem wziąć kurs na najbliższą górę lodu,
ominąć ją i dopiero wtedy
wbiec się w oziębły kontynent mrozu.

Rozbić się nawet gotowy jestem okręt, ale
w czystym kryształach. Właśnie w czystym wzorze
chłodu, a nie w poddańczym szaleństwie
do którego przyzwyczały wiatry inne żagle.

Zmrożony piszę te słowa na krze,
którą trzymasz w dłoni – Pani! – przekonana,
że kra się topi; a topią się twoje dłonie
ogrzone wygodą przystani.

Jasność ćmy

Czy widziałaś kiedyś śmierć ćmy?

Nie pytam, czy wiesz, jak umierają ćmy.

Bo wiesz, wpadają do ognia.

Ale ja pytam ciebie, czy widziałaś tę śmierć.

Ja widziałem przed chwilą.

Ledwie uciekła sprzed szponów kota. Uwolniona! Pełna radości!

Wpadła wprost do lampy. Jak pięknie! Jak jasno! Jak ciepło!

Uniósł się ponad lampą kurz. Moja miła, uniósł się kurz.

I już.

Jeszcze w uszach brzmi mi trzepot skrzydeł.

Powiadasz, świata nie należy się bać.

Trzeba go kochać.

Unieść się potęgą miłości.

Jak na skrzydłach...

Moje długie ręce

Mam ogromnie długie ręce,
sięgam bez trudu ziemi,
nie schylając się.

A podnosząc je do góry,
dotykam porowatego nieba.

I co zrobić z takimi rękoma?

Pragnienia

Ponieważ jesteś nikim
możesz prosić każdego
aby był kimś.

Ponieważ jesteś kimkolwiek
możesz prosić kogokolwiek
o wszystko.

Ponieważ jesteś stworzeniem
umierającym
możesz marzyć o życiu.

Ponieważ
w wąskiej szczelinie życia
umierasz
masz prawo do buntu.

Ponieważ jesteś łaknieniem
bądź ostrożny
i niech nie oszuka cię głód.

Małe słowo

Właśnie niosłem do ciebie małe słowo,
ale wypadło mi z ręki.
Teraz schylony szukam go,
ale wokół lśnią tylko małe korale,
nieokrągłe, kanciaste, bez dziurki
na nitkę.

Czy zbieram je choćby na tyle,
abyś domyśliła się, że chciałem
ci coś powiedzieć
– właśnie to zgubione słowo?

1996

Jabłko

Pytasz dlaczego wiersze są o śmierci?
Mogłabyś zapytać dlaczego o miłości.
Obieram jabłko, długa już jest
sprężynka zielonej skóry,
układa się w kręgi na kartce papieru.

Dlaczego o wieczność pytasz,
dlaczego z tak daleka koniec widzisz?
Nie przekrawam jabłka na pół,
do środka owocu powoli dochodzę.

Nie odpowiem ci na twoje pytania,
nie dlatego, że nie wiem,
ale dlatego, że nie mam wątpliwości
– nóż mój kroi jabłko konsekwentnie,
we właściwym kierunku
i w końcu przetnie:

małe, gorzkie pestki miłości.

1996

Kropla

Agnieszce

Jest czerwiec. Za oknem
lśni na liściu złota kropla.
– Wyschnie albo spadnie,
szepczą do siebie kwiaty dali.
Mówią cicho,
aby kropla wybrała swobodnie.

Ja pomiędzy kwiatami milczę,
bo wiem, jak krótki jest żywot
wilgotnej kapki
– lśni tylko tyle, ile jej się wyśni.

1996

Skąd ten ptak nocą gra

Jest noc, pierwsza po północy,
Za oknem mrok, mży deszcz.
Jest już późna pora, prawie śpię.
Prawie, bo za oknem od kilku chwil
słyszę jak krzyczy ptak. Nie nietoperz.
Nie duch, nie zjawą. Zwykły ptak.

Nie śpi – jak ja.
Słuchamy się wzajemnie.
On mojego spłoszonego snu,
a ja jak on wygrywa swój strach.
Przykrywam się kocem po głowę.
Może ptak wreszcie ścichnie,
może doleci do niego mój lęk,
gdy wreszcie zasnę.

A zasnę, gdy jego głos zgaśnie.

1996

Władysław Zawistowski

Tajemnica Szekspira
czyli 9 razy o Zbigniewie Joachimiaku

1.

*Jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy*

(„Atletem polskim”)

Nie mam do końca pewności, czy to ja właśnie powinienem pisać posłowie do wyboru wierszy Zbigniewa Joachimiaka. Powodem nie jest jednak niezajomość tematu, która wszelkim dywagacjom dodaje poloru dyletanckiej świeżości, a przeciwnie – znajomość aż nadto może bliska, gdyż grożąca zatraceniem dystansu do przedmiotu opowieści. O ile ten dystans w ogóle udało się utrzymać przez ponad ćwierć wieku trwania znajomości, przyjaźni, a także wspólnej – na wielu polach – pracy.

Po namyśle podjąłem się tego zadania, z powodu zasadniczego: poezję Joachimiaka cenię bardzo wysoko. Choć dawno już nie ma formacji poetyckiej Nowej Prywatności, to właśnie po latach Joachimiak jest dla mnie tym, który najdonioślej realizuje nasze ówczesne programy, czy może raczej – intuicje i emocje artystyczne. Jest tym, który nadaje im sens konsekwentnego i upartego penetrowania najgłębszych zakątków psyche.

2.

bądź wierny prawdzie a prawdy szukaj w sobie

(„anonimowy czytelnik radzi autorowi”)

To poezja, która już dawno (może na samym początku) przekroczyła granice literatury, stając się realnie tym, czym idealnie pragnie być każda poezja: metajęzykiem kontaktu i porozumienia. Oczywiście – pod pewny-

mi warunkami. Rzecz jasna – nie za darmo... Wiersze Joachimiaka nie są łatwą lekturą. Daleko im do logiki wielu pisanych dziś wierszy, które mają tytuł, początek i koniec, pointę, concept i przesłanie. Joachimiak też potrafi tak pisać i czytelnik znajdzie w tej książce wiele bardzo kunsztownie skonstruowanych tekstów.

Są jednak i teksty inne, ba, są nawet całe cykle wierszy, czy książki, które odrzucają jakby „pozory wiersza”. Te teksty nie są maską czy figurą komunikatu, są s a m y m k o m u n i k a t e m. To niezwykła i nieczęsta sytuacja, gdy poezja staje się językiem, a język poezją i nie sposób oddzielić tego, co w tekście jest istotnym wyznaniem, od tego, co jest jego artystyczną sukienką. Nie oznacza to odrzucenia czy zubożenia środków artystycznych! Rzecz w tym właśnie, by „odrzucając pozory”, nie odrzucać funkcji poetyckiej naszego komunikatu.

To najtrudniejszy sposób mówienia; prawie niemożliwy w naszych czasach, gdy poezja wypadła już chyba ostatecznie ze społecznego obiegu, przestała być nawet ozdobnikiem przemówień politycznych czy ornamentem okolicznościowych wystąpień. Przyznajmy – publiczne czy medialne „mówienie poezją” jest dziś właściwie niemożliwe, a jeśli się pojawia, wywołuje uczucie zażenowania. Podobnie jak telewizyjne „montaże poetyckie”. Coś tu nie gra, mamy do czynienia z zasadniczą sprzecznością konwencji. Poezja jest niewątpliwie mówieniem s e r i o, i to właśnie ta wewnętrzna powaga poezji zderzona z „niepowagą” świata mediów jest źródłem owego zgrzytu, który powoduje, że politycy rezygnują z poetyckich cytatów, albo poeci – z wewnętrznej powagi.

Jeśli polski poeta w ciągu kilku powojennych dziesięcioleci chciał być usłyszany przez polityków i dotrzeć do świadomości opinii publicznej (a chcieli prawie wszyscy), to musiał uciekać się do ironii, języków ezopowych, czasem artystycznej, obyczajowej bądź politycznej prowokacji (wreszcie mógł poszukiwać autorytetu bądź popularności w innych dziedzinach, a dyskontować sukces w dziedzinie poezji; to też się zdarzało).

Wszystko to jednak odbywało się kosztem „wewnętrznej powagi sztuki”, która zdaniem poetów spod tej samej poetyckiej gwiazdy co Joachimiak, nie może być przedmiotem żadnych, zwłaszcza artystycznych ustępstw. I nie myślę tu jedynie o dawnych przyjaciółach Joachimiaka z kręgu Nowej Prywatności.

„Poezja jest sprawą śmiertelnie serio” – mówili przed nim: Sergiusz Jesienin, Anne Sexton, Maryna Cwietajewa, Władysław Broniewski, Rafał

Wojacek, ale również – Tadeusz Różewicz. Ta lista nie oznacza antenatów poetyckich Joachimiaka (może za wyjątkiem Sexton), pokazuje raczej tych poetów, dla których talent poetycki był źródłem nie tylko twórczej radości, ale również – cierpienia. Tak jak źródłem cierpienia może być sam język. Bądź, jak kto woli, potrzeba mówienia.

3.

*Żyjemy w czasach w których oddychanie jest znaczące
kiedy krew w naszych żyłach jest krwią bliźnich
i nasze napięte ramiona noszą ślady bliskich*

*żyjemy w czasach naszych własnych błędów
w których odnajdujemy szepty dawno zmarłych
obląkańców którzy przed nami róży oblędu dotykali*

(„pełni róż oblędu”, 1978)

Pamiętam Joachimiaka sprzed ćwierć wieku. Pamiętam nie tylko, jak czytał wiersze, ale również jak mówił, dyskutował, przekonywał, uwodził. A to jego mówienie również było „serio”, gdyż inaczej nie potrafił bądź nie chciał. Zawsze, w każdej porze i każdej sytuacji: na zajęciach uniwersyteckich i w podróży, w klubach literackich i w przedrannych pieszych wędrówkach po mieście, był gotów podejmować rozmowę. Mówić. Ale także słuchać. Może przede wszystkim słuchać? Było to jednym z istotnych powodów jego niewątpliwej charyzmy.

Powodowało – na równi z innymi przyczynami, o których później – że lgnęły do niego bez przesady setki ludzi. Nie tylko kobiety i nie tylko ludzie młodzi. Bo też ucieleśniał Joachimiak skutecznie mitologiczną niemal w polskich środowiskach humanistycznych, acz równocześnie na swój sposób skonwencjonalizowaną, rolę p o e t y. Był zatem Artystą, ale był także Mędrce. Potrafił Być Doradcą, Guru, Przewodnikiem. Ale był też aktywnym Członkiem Bohemy. Na pewno nie był Chuliganem, choć i ta rola jest nader często w środowisku literackim obsadzana. Robił zatem z grubsza to, co wielu innych podobnych mu kandydatów do lokalnych mitologii. Co sam robiłem przed ćwierć wiekiem, może w wariacie nieco bardziej „melancholijnym”. Tyle że Joachimiak w s z y s t k o to robił s e r i o, a to już tylko niewielu z nas się udało.

Takie refleksje są nieuniknione – wspominałem już o kłopotach z dystansem, oczywistych wobec wspólnoty doświadczeń – ale nie chcę z nich rezygnować. Nie piszę tu monografii poety, zwłaszcza obiektywnej. A w przypadku twórczości Joachimiaka ta właśnie optyka – osobistego doświadczenia, wydaje mi się szczególnie istotna. Świadomie zatem sięgam do *w s p ó l n y c h* doświadczeń, aby i przez nie spróbować wytłumaczyć fenomen tej poezji.

4.

*W portierze kraju, tuż za pasmem wzgórz
śni się ostatkiem sił ulica,
która się kończy co dziś.*

(„Epitafium dla ulicy Polanki nie nazwanej
nigdy imieniem Arthura Schopenhauera”)

Spotkaliśmy się w połowie lat siedemdziesiątych, na młodym jeszcze wówczas Uniwersytecie Gdańskim, który przyciągnął nas wszystkich – studentów, ale również młodych asystentów – na wydział humanistyczny. Było wśród nas, rzecz jasna, wielu gdańszczan, ale byli też przybysze z różnych stron Polski, z różnymi doświadczeniami, biografiami, oczekiwaniami wobec nowego miasta i środowiska. Zbyszek Joachimiak był wśród tych przybyszów postacią szczególnie wyrazistą – co nie znaczy – łatwą do zaklasyfikowania.

Sprawą „na serio” nie były tylko jego wiersze (o których zresztą wkrótce wszyscy się dowiedzieli), na serio był on sam: niewysoki brodacz w wielkim zadzierzystem kapeluszu, który nosił długo i z uporem. O kilka lat starszy od nas, bogaty – już wówczas – w doświadczenia, które owo „serio” uprawomocniały.

Urodził się w 1950 roku w Elblągu, który był równie przypadkowym miejscem przyjscia na świat poety, co przelotnym przystankiem na drodze jego rodziny, która konsekwentnie przemieszczała się po północnej Polsce. Joachimiak wychował się zatem w Szczecinie (a było to w owych ciężkich powojennych czasach miasto szczególne, prawdziwie kresowe, zapomniane przez Boga i ludzi), tam robił maturę i przeżywał przeróżne inicjacje właściwe wiekowi i czasom, choć niekoniecznie dostępne wszystkim jego rówieśnikom.

Po Szczecinie były inne miasta (Racibórz!), a nawet kontynenty (USA), jednak raz związawszy się z Gdańskiem studiami, pozostał już Joachimiak gdańszczaninem, i to nie tylko w praktyce życiowej, ale również (czy przede wszystkim) w poezji, by wymienić młodzieńczy jeszcze cykl wierszy „O ulicy Polanki w Oliwie” (a w nim „miasto które milczy chórem”), poematy: „trakt do Wrzeszcza” (1981) i „Ta kobieta ma na imię Gdańsk” (1995), czy wiersz „Wrzeszcz nad ranem” (1980), zakończony jakże znamiennej deklaracją:

*tu mieszkam
i pilnuję nocnego państwa.*

Jednak w roku 1972 czy 1973, kiedy cała ta historia dopiero się zaczyna, Joachimiak był w Gdańsku przybyszem, obcym; podobnie jak my wszyscy (nawet tu urodzeni) byliśmy obcymi przybyszami na wciąż jeszcze pachnącym olejną farbą uniwersytecie, w pobocznej dzielnicy miasta, niby w Oliwie, a jednak daleko od katedry, gdzieś w tych niejasnych okolicach, w których Wrzeszcz przechodzi w Oliwę właściwą, rozsnuwa się po opłotkach, działkach i altankach, poprządkanych gierkowskimi blokami; w dzielnicy – mówiąc krótko – co się zowie peryferyjnej, której historię (i poezję) mieliśmy w następnych latach sami mozolnie odkrywać.

Studiowaliśmy bowiem w nowym budynku Wydziału Humanistycznego na Wita Stwosza w Oliwie, a zamiejscowi mieszkali w akademikach przy ulicy Polanki. Nasz uniwersytet (nie mówiąc o akademikach) też, oczywiście, był gierkowski, ale już ulica Polanki nigdy nie poddała się do końca ciśnieniu czasu.

Akademiki, w których pomieszano polonistki z ekonomistami i rusycystów z oceanografkami, sąsiadowały zatem z ciągnącą się wzdłuż zalesionych wzgórz ulicą (*U wejścia do kraju, // na portierze krainy środka, tuż za zaprzeczeniem // mórz*), która przez pokolenia była podgdańską patrycjuszowską wilegiaturą. Zostało po tych czasach wcale niemało zniszczonych „poniemieckich” pałacyków i willi, teraz przerobionych na szpitale, przytułki, klasztor i inne zakłady pracy chronionej dla ociemniałych i trwale niedowidzących. Fascynowała nas zwłaszcza zniszczona willa rodziny Schopenhauerów, pamiętająca dziecięciem Arthura, i zajęcia, które odbywaliśmy czasem nie w wykładowych salach, a na wzgórzach nad ulicą Polanki, były tyleż sposobem ucieczki od rutyny obowiązków, co hołdem składanym przez nas temu miejscu i jego przeszłości.

Joachimiak był chyba pierwszym, który odkrył dla nas ulicę Polanki i jedynym, który poświęcił jej cykl wierszy. Polanki były jego odkryciem, a więc także jego łupem i terenem łowów – nie tylko zresztą literackich. Jest w tych wierszach coś, co do dzisiaj pozostaje żywe i fascynujące: życie toczące się innym rytmem niż obroty świata, a nawet pod ten prąd, przejawy życia (trwania?) nieoczekiwane i nieuzasadnione, wydobyte nagle na powierzchnię z jakiejś otchłani czasu. Takie były wczesne fascynacje Joachimiaka (*jeżeli kogoś obchodzi historia ludzi o jednej twarzy*) i taka była otoczona blokami ulica Polanki.

Historia, po latach, miała dopisać pointę do jej długiej i zawitej historii; pointę – co tu kryć – której poeta przewidzieć nie był w stanie. To tu właśnie, na Polankach, nieopodal uniwersyteckich akademików, zbudował sobie rodzinną siedzibę Lech Wałęsa.

5.

Wiecznym celem sztuki jest dawać doświadczenie porządku w życiu przez imponujący porządek ponad nim. (...)

Manifestujemy indywidualizm i indywidualność, wybór drogi w życiu, która nie sprowadzi się t y l k o do życia społecznego.

(z manifestu Grupy „Wspólność”, maj 1976)

Czasy były „gierkowskie” i – cokolwiek to dzisiaj znaczy – dla nas były to dobre czasy, bo byliśmy młodzi. Młody był również Uniwersytet Gdański i jego pracownicy, i młodzieńcze, a przede wszystkim „nowe” było dla nas wszystko, co robiliśmy.

Wielokrotnie zastanawiano się publicznie nad źródłami gdańskiego boomu poetyckiego połowy lat 70. Skąd raptem, w jednym miejscu i czasie, tylu utalentowanych poetów? Tyle dobrych tekstów, ale również tego, o co zawsze najtrudniej: autentycznego życia artystycznego, sporów, programów, debat i wymiany poglądów?

Najprostszej odpowiedzi udzieliłem już wcześniej, pisząc o powstaniu Uniwersytetu. Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Dlaczego akurat wtedy? Dlaczego akurat w Gdańsku? Może zresztą odpowiedzi należy szukać gdzie indziej: w większości należeliśmy do pokolenia, które przeżyło bezpośrednio doświadczenie Grudnia 1970 roku. To odarło nas z wielu złudzeń, ale również pobudziło do poszukiwań intelektualnych, czy

przynajmniej – zadawania pytań. A naszym rodzicom i niektórym nauczycielom otworzyło usta. Nie chciałbym mistyfikować tego doświadczenia, jestem daleki od twierdzenia, że już wtedy byliśmy czynnymi opozycjonistami. Ale biernymi byliśmy na pewno. I choć ścieżki, na które wtedy wspólnie wchodziliśmy, poprowadziły nas w bardzo różne strony – od ministerialnych gabinetów, po posthipisowski nihilizm, to zaczęliśmy bardzo podobnie. A w owych czasach istotnym sposobem własnej ekspresji było pisanie. Pisaliśmy więc wiersze.

Faktem jest, iż na Uniwersytecie spotkało się niemałe grono utalentowanych poetów studentów i niewiele od nich starszych (a czasem i młodszych) asystentów, głównie wychowanków profesor Marii Janion. Wśród tych pierwszych byli: nieżyjący już Stanisław Gostkowski, Kazimierz Nowosielski, Maciej Kraiński, Marek Bieńkowski, Stanisław Esden-Tempski, Aleksander Jurewicz, Anna Czekanowicz, Anna Janko, Bożena Ptak, Krystyna Lars, Waldemar J. Ziemiński. Wśród ich nauczycieli: Miłoslawa Bukowska, Małgorzata Czermińska, Józef Bachórz; później polonistyczne kadry zasilili nasi rówieśnicy, bądź niewiele starsi koledzy, jak Ewa Graczyk, Stefan Chwin, Stanisław Rosiek, Zbigniew Majchrowski.

Oczywiście, nie wymieniam tu wszystkich uczestników ówczesnych gdańskich „ gier literackich”. Biorąc pod uwagę tylko liczebność Koła Młodych przy ZLP, czy spis autorów sławnego almanachu „Nowy transport posągów” (Gdańsk, 1977), liczba ta była nawet kilkakrotnie wyższa. Należał do naszego kręgu tragicznie zmarły Jerzy Henryk Kamrowski, cieszyliśmy się przyjaźnią zawieszoną między Gdańskiem a Bydgoszczą Grzegorza Musiała i całkowicie już (przynajmniej wtedy) zaanektowanego przez Warszawę Antoniego Pawlaka, wśród naszych trochę młodszych kolegów byli Paweł Huelle i Włodzimierz Cegłowski, a z Poznania dojeżdżał, by później wrócić na stałe, Jerzy Limon (co z czasem przytrafiło się również Pawlakowi).

Byli zresztą i inni, nie tylko poloniści i nie tylko poeci, jak znakomita redaktorka Aldona Mrozowska, fotografik Janek Ledóchowski (jej obecny mąż), architekt Grzegorz Boros, rusycysta Bogusław Żyłko, plastycy – Krystyna i Jerzy Janiszewscy, dziennikarz Jarosław Dąbrowski, aktor Andrzej Blumenfeld, reżyser Ryszard Major. Z daleka patronował nam Stanisław Hebanowski, a był to Mistrz nie lada. Cóż, mówimy o czasach, kiedy litera-tura potrafiła jeszcze budzić emocje, wywoływać spory, promieniować poza jedno tylko – hermetyczne, bo uniwersyteckie – środowisko.

Choć bowiem większość z nas związana była tak czy inaczej z uczelnią,

ekspansja tej grupy (choć nie tylko grupy „Wspólność”) spowodowała, iż gdańscy poeci szybko zaczęli być widoczni „w mieście”, a także na forum ogólnopolskim. Na Uniwersytecie ukazywał się nieregularny kwartalnik „Litteraria”, przeobrażony później w „Punkt”. Bardzo aktywnie działało Koło Młodych, organizujące m.in. słynne spotkania literackie w Wieżycy, na które pod koniec lat 70. przyjeżdżali pisarze i krytycy z całej Polski, również ci, których gdzie indziej zapraszać, a także drukować – z przyczyn politycznych – nie chciano.

Pojawiły się też pierwsze książki (najpierw w Wydawnictwie Morskim), a nawet całe inicjatywy wydawnicze (np. głośna „seria Grzegorza Borosa” zainicjowana przez studentów ówczesnej PWSSP). Istotne znaczenie miało pojawienie się wystąpień grupy „Wspólność” (pierwsze manifesty w 1976, „Ostatni komunikat”, ogłaszający rozwiązanie grupy, a napisany przez Joachimiaka – 1979), a także sformułowanie przez Marię Janion założeń (czy raczej oczekiwań) wobec nurtu Nowej Prywatności. To wówczas (1979) pisze Janion szkic „Oni są czarownicą”, opublikowany jako wstęp do wspólnego(!) tomu poetyckiego Anny Czekanowicz i Zbigniewa Joachimiaka „Pełni róż obłędu”, wydanego ostatecznie dopiero w 1983 roku w Wydawnictwie Morskim.

We wszystkich tych przedsięwzięciach Joachimiak bierze intensywny udział, w wielu – jest autentycznym liderem środowiska, a przynajmniej jego części. Współtworzy najważniejsze dokumenty „Wspólności”, redaguje „Litteraria” (potem także „Punkt” i „Autograf”), bierze udział w niezliczonych (w owym czasie) poetyckich spotkaniach, sympozjach, sesjach i konferencjach. A przede wszystkim – pisze i wydaje. W latach 70. ukazują się cztery jego publikacje poetyckie: „Dedykacje” (1974), „Wieczne amazonki” (1976), „Lęk” (1978) i „Mam do powiedzenia” (1978). Pisze zresztą znacznie więcej niż wydaje, bo też znaczna część jego pisania nie była wówczas przeznaczona do druku, nawet jeśli – tak jak wiersze – służyć miała temu samemu: pełnemu, głębokiemu kontaktowi. Na pytanie Marty Fox o gatunek, w którym najchętniej się wypowiada, Joachimiak stwierdza: *Najbardziej w wierszach... one są mi najbliższe. Kiedyś w listach. One były pewnego rodzaju treningiem, były punktem wyjścia do skupienia się, takim preludium, by napisać coś z prawdziwym oddechem, który można znaleźć tylko w poezji.*

Nawet jeśli listy z tego okresu były tylko preludiami wierszy, to zapewne równie serio były pisane. I czytane. Może nawet bardziej niż wiersze?

Joachimiak niewątpliwie na równi ze sztuką poezji uprawia skompli-

kowaną sztukę życia. I przynajmniej w owych czasach, w „epoce pisania listów” – ta druga interesuje go bodaj bardziej. Choć obie są ze sobą sprzężone i związane, nawzajem sobie służąc i nawzajem się karmiąc. Łącząc intensywność przeżycia i ekspresję wiersza. Wyzwalając siłę poetyckiego zaklęcia, potrafiącego zmieniać rzeczywistość.

6.

Poezja to opamiętanie się przed następnym krokiem, który na pewno będzie uczyniony

(wypowiedź na spotkaniu autorskim, 1987)

Tak, Joachimiak to był KTOŚ. I jego zaklęcia n a p r a d ę zmieniały czasem rzeczywistość. Przyznawali to zarówno jego poetyccy sojusznicy i rywale, uniwersyteccy profesorowie, jak i uczestniczki nieustannego karnawału, trwającego w polankowych akademikach. To rzeczywiście nieco „zapustne” życie było w istocie bezustannym poznawaniem nowych ludzi i wchodzeniem w różne, czasem trudne i skomplikowane związki. Poeta stawał się więc nie tylko autorem tekstów, ale kimś więcej, czasem wszystkim: guru, przewodnikiem, idolem, doradcą, powiernikiem. Bądź w innym rozdaniu (a czasem tym samym): kochankiem, przyjacielem, przedmiotem zazdrości i zawiści. Te role na ogół się rozdziela, znacznie rzadziej – zespala.

Nasz karnawał młodości skończył się w 1981 roku. Nie tylko dlatego, że stan wojenny wepchnął nas wszystkich w półpodziemną apatię. Raczej dlatego, że nim skończyła się apatia – zdążyła minąć młodość.

W wiek męski wkraczaliśmy więc osobno, choć jeszcze na chwilę spotkaliśmy się wszyscy (no, prawie wszyscy) w sierpniu 1980 roku w Stoczni Gdańskiej. A podpisy pod deklaracją poparcia strajku zbierali pospołu Joachimiak, Marek Bieńkowski (od wielu lat w USA) i Marian Terlecki, późniejszy prezes telewizji publicznej.

Już w 1981 roku – ale grubo przed 13 grudnia – pisze Joachimiak tomik wierszy „Nasza wojna”. Nie tylko pisze, ale również sam, w niewielkim nakładzie, publikuje i rozdaje przyjaciołom. Typowy samizdat, którego niestety (nawet w jednym egzemplarzu!), nie udało się odnaleźć w trakcie prac nad tą książką. Na szczęście w tomie „Ja sobowtór...” z 1984 roku znalazł się wiersz „będzie wojna”, w którym czytamy:

*wojna już jest
wojnę trzeba spostrzec
(...)
i nawet jeśli się boimy
jeśli bardzo nie chcemy
nie odmienia to tego
co już się stało.*

W 1984 roku Joachimiak wyjeżdża wraz ze swoją ówczesną żoną, Amerykanką Susan Elisabeth Storie, i córką Sybilką do USA. Najbliższe lata to dwa kilkuletnie pobyty za oceanem, przedzielone dłuższą wizytą w Polsce i zakończone samotnym powrotem do Gdańska na stałe.

7.

*Mija rok 1995.
Mam czterdzieści pięć lat.
Obok na białej pustyni
Śpi i lekko chrapie młoda kobieta.
Ma długie nogi jak Gdańsk.*

(„Ta kobieta ma na imię Gdańsk”)

Joachimiak wrócił do innego Gdańska i na inne już „stałe”. Cezura roku 1981 okazała się bardzo silna, choć stan wojenny ze swoimi dolegliwościami nie tłumaczy wszystkiego. Koniec formacji poetyckiej był równocześnie, a może pierwotnie, związany z końcem pewnej formacji przyjacielskiej. Z rozstaniem i zdradami o często niedocieczonych przyczynach i nieprzewidywalnych konsekwencjach.

Dojrzałość okazywała się być sztuką rezygnacji, a rezygnacja – lepszym wyborem w złej sytuacji. W pełni dojrzałe lata poety naznaczone zostają samotnością z wyboru, a nawet – wyrachowania. Kończy się ostatecznie czas wielkiego zawieszenia, na które skazał nas czas i nasze własne wybory. Na przełomie lat 80. i 90. Joachimiak odsuwa się ostatecznie od życia literackiego, czyli postępuje dokładnie odwrotnie niż wielu jego zasłużonych kolegów, którzy od lat nic nie pisząc, przejawiają wiele aktywności środowiskowej. Joachimiak co prawda nie przejawia, ale nadal pisze wier-

sze, dorzucając do dwóch tomów wydanych w latach 80. („Pełni róż obłądu” 1983, pisane razem z Anną Czekanowicz, „Ja sobowtór...”, 1984), trzy pochodzące z następnej dekady: „Pułapka i inne wiersze” (1989), „Cztery tematy” (1991), „Pestki, korale, słowa do nawlekania” (1998). Jakby zatem nie liczyć, niniejszy tom jest dziesiątym w dorobku poety.

Jest również – jak każdy wybór wierszy – próbą pokazania, jak zmieniała się ta poezja, miotana jak jej autor między biegunami poczucia wspólnoty („Wspólności”!) i odrębności, współdziałania i samotności, bliskości i obcości, potęgi i znikomości słowa. Te dramatyczne przejścia są zapisane w wierszach i są projekcją nie tylko jednostkowego doświadczenia. I nie myślę tu wcale o doznaniach i emocjach zbiorowych czy pokoleniowych. Joachimiak – co jest rzadkością u poetów – n a p r a w d ę wiąże swoje wiersze z konkretnymi osobami, nie wstydzi się ich obecności, nie odczuwa zażenowania, by mówić do nich najdoskonalszym ze znanych sobie języków, a więc językiem poezji, nawet ryzykując niezrozumienie czy nieporozumienie. To jedyny znany mi poeta, do którego wyboru wierszy można by zrobić indeks nazwisk złożony z adresatów dedykacji, bohaterów wierszy bądź osób wzmiankowanych. Autor nie tylko nawiązuje kontakt, on go oczekuje – oto tom „Pułapka i inne wiersze” z roku 1989, kończy się adnotacją: *Zbiór zakończyłem 18 maja 1984 roku. Mój adres:*

Nie sądzę, by po latach poeta chciał ten gest otwartości powtórzyć. Ale wiersze pozostają otwarte. Mogą być trudne formalnie, tajemnicze w sferze odniesień, hermetyczne, jednak zawsze zawierają głęboko wpisane w tekst realnego adresata, z myślą o którym są pisane. I nie jest nim wirtualny „późny wnuk”, gdyż porozumienie z drugą osobą jest zawsze cenniejsze niż formalne – więc abstrakcyjne – uznanie.

8.

*Bóg który oddycha w nas
popiół
oddając w nasze ręce*

(„Słowacki powiedziałby”)

Poetycka legenda Jorge Luisa Borgesa przechowała wspomnienie wystąpienia tego znakomitego poety, które miało ponoć miejsce w Londynie, na początku lat 80., a więc na kilka lat przed jego śmiercią (1986). Borges miał

tam wygłosić dawno zapowiadany i gorąco oczekiwany odczyt na temat „Tajemnicy Szekspira”. Na długo przed wystąpieniem sala wypełniła się po brzegi, nie tylko miłośnikami literatury, pisarzami i akademikami, ale również żądnymi sensacji przedstawicielami mediów (w końcu miała tam zostać ujawniona tajemnica niebagatelnej postaci historycznej!).

Znakomity pisarz zjawił się o czasie, zajął miejsce na katedrze i cichym, choć pewnym głosem, zaczął mówić. W sali zapanowała absolutna i niczym niezakłócona cisza, jednak – mimo skupienia i uwagi zebranych – głos mówcy nie docierał nawet do widzów siedzących w pierwszym rzędzie. Popsuła się aparatura nagłaśniająca, mikrofon, do którego mówił Borges, nie działał! Zauważyli to (a raczej usłyszeli) wszyscy zebrani, poza samym mówcą. Ociemniały Borges, skupiony na wydobywanym z pamięci tekście (nie czytał wszak z kartki), nie zauważył niczego niezwykłego. Mówił więc dalej. Mówił niepojętym językiem ociemniałego Sfinksa, który sam w sobie kryje tajemnicę większą od tej, którą tak niezrozumiale choć szczerze zawiera.

I nikt nie śmiał mu przerwać! Mijały minuty, potem kwadranse, widzowie zastygli w pełnym uwagi bezruchu, jakby zaczarowani odbywającym się na katedrze aktem intelektualnego ofiarowania. I nikt z nich – żaden z zebranych profesorów, poetów, dziennikarzy, studentów – nie odważył się podejść do mówcy i uświadomić mu, że mówi w pustkę. Sfinks zadał im swoją zagadkę, a potem oniemiałych pożarł i strawił.

Ktoś jednak, zapewne za kulisami wykładowej sali, musiał podjąć jakąś akcję naprawczą, gdyż po dłuższym czasie mikrofon niespodziewanie włączył się. – I na tym właśnie, proszę Państwa, polega tajemnica Szekspira. Dziękuję – usłyszeli zebrani ostatnie zdanie odczytu Jorge Luisa Borgesa, który już po chwili schodził z mównicy w akompaniamencie gromkich, długo niemilkających braw.

Anegdota ta przypomniała mi się podczas lektury wiersza Joachimiaka „Krzysztof Gąsiorowski recytuje wiersz głuchej kobiecie (reportaż ze spotkania autorskiego zorganizowanego przez Zakłady Azotowe we Włocławku)” (1977-1979), napisanego zresztą znacznie wcześniej nim miało miejsce przywołane przeze mnie zdarzenie, dotyczące również, było nie było, spotkania autorskiego.

Powiem więcej: zachowując wszelkie proporcje – bo w końcu Włocławek to nie Londyn, a Gąsiorowski to nie Borges – Joachimiak opisuje (z dużą intuicją) tę samą sytuację, która z anegdotycznej dwadzieścia lat temu stała się dzisiaj powszechna i oczywista. Jest to, najkrócej mówiąc, sytuacja,

gdy poeta nie tylko mówi o niezrozumiałych sprawach, nie tylko robi to niezrozumiałym językiem, to jeszcze mówi do wyłączzonego mikrofonu. Albo jest Sfinksem, który czeka na amatora swoich zagadek.

Powie ktoś: Borges nawet z wyłączonym mikrofonem swoją publiczność pożarł i strawił. Tak, gdyż jego publiczność wiedziała, że objawia on tajemnicę. Przyszła właśnie po to, żeby oglądać Sfinksa. I – przypadkiem – na oglądaniu się skończyło. Lecz i to wystarczyło.

Wracając do wiersza Joachimiaka: akt poetyckiej recytacji jest w tym tekście zdarzeniem tak istotnym, że wszystkie towarzyszące mu okoliczności ulegają niejako zawieszeniu, włącznie z tą najistotniejszą – głuchotą słuchaczki. Ale jakież w gruncie rzeczy miała znaczenie jej głuchota, skoro ta pomarszczona osiemdziesięcioletnia stara kobieta

*co wiersza nie słysząc słuchała bo go wymodliła
będąc sama modlitwą plakatem i wierszem
będąc wersetem i czystym powietrzem.*

Pointa wiersza jest oczywiście łatwa do przewidzenia:

*(tu poeta skończył Starsza pani wstała i rzekła
„Dziękuję bardzo za przeczytanie wierszy, Żałuję że
słuch przed laty straciłam i nie mogłam usłyszeć
lecz doprawdy nie opuszczam żadnego wieczoru autorskiego”).*

Zauważmy jednak, że tę pointę bierze Joachimiak w nawias; potrzebuje jej dla dopełnienia anegdoty, nie dla dopełnienia przesłania wiersza, który – jak modlitwa – spełnia się w samym akcie powstawania.

* * *

Tajemnica Szekspira pozostanie nadal niedocieczoną zagadką Sfinksa. A słowa wierszy wciąż będą szybować i znikały w wielkiej mlecznej ciszy, jak niewysłuchane nigdy modlitwy. Dopóki ktokolwiek będzie się modlił i dopóki ktokolwiek będzie pisał nigdy nieprzeczytane wiersze. Gdyż tajemnica została objawiona, ale nie została usłyszana!

To Poeta okazał się Sfinksem.

I zapewne na tym należałoby te uwagi zakończyć, gdyby nie świadomość konsekwencji mitologicznych porównań. Jeśli bowiem Sfinks zostanie wysłuchany, a zagadka rozwiązana, to on sam będzie musiał runąć

w przepaść. O czym zapewne wie, uparcie grający w tę śmiertelną grę poeta Zbigniew Joachimiak, skądinąd autor wiersza „Sfinks, który mówi” (1998), którego przesłanie może służyć za emblemat całej tej – niezwyklej – książki:

*Lecz czy nikt ciebie nie nauczył,
że słowa nie boją się słowa,
ciało nie boi się ciała
i że całość chce całości?*

Władysław Zawistowski
Sopot, lipiec 2001

Spis treści:

Antoni Pawlak	
<i>Modlitwa ze Zbyszkiem</i>	5
Okazja do pytania (1974)	11

WIECZNE AMAZONKI

(1976)

Tancerka	14	
Siedmioletnia matka	16	
Opowieść	17	
Uśmiech	18	
Neofitka	19	
Für Christine Gorek in DDR	20	
Wielka artystka płacze między koncertami	21	
Droga do nieba Pomywaczki z seminarium biskupiego w Oliwie		22
Może miała szarą sierść	24	
a usta miała otwarte	26	
mają głos budzący niepokój	27	
Elżbiecie Straszynskiej zmarłej 19 stycznia 1796 roku		28

MAM DO POWIEDZENIA

(1978)

fragment zidentyfikowanego rękopisu	30	
mam do powiedzenia (I)	31	
*** (jeżeli mówić o ciszy...)	32	
Marianna B. prosi o wysłuchanie	33	
pytanie prorokom	34	
czytelnik do Marianny B.	35	
może sen	36	
mam do powiedzenia (IV)	37	
modlitwa	38	

anonimowy czytelnik radzi autorowi	39
drzewo szalone	40
dąb	41
trzy strofki o ogrodniku	42
gdzie tylko cisza jest	43
nie ma upiorów na słonecznych rozstajach	44
król zbóż	45
atletom polskim	46
epitafium dla ulicy Polanki nie nazwanej nigdy imieniem Artura Schopenhauera	48
Herbacyani Przechodzień i rozmowa jego z szeptem domu, którego już nie ma	50
miasto, które milczy chórem	51
egzekucja, albo druga część obrony niepełnoletniej Sydonii	53

PEŁNI RÓŻ OBŁĘDU

(1983)

15. (<i>już wstaję wstaję już...</i>)	58
16. (dom rodzinny)	59
29. (krzyż z piasku)	60
30. (modlitwa II, do Androgyne)	61

JA SOBOWTÓR...

(1984)

osamotnienie

dla kogo	65
w słowie stolicy mojej	66
osamotnienie	67
i anatemę wyszydzą oświeceni	68
nauczony	69
modlitwa (III)	70

sięgniesz dna	71	
pełni róż obłądu	72	
kilka spraw do rozwiązania		73
góra i pielgrzym	74	
cztery nihilistyczne pytania		75
ja sobowtór dotykam cię cieniu		76
martwa natura (V)	77	
(właśnie...)	78	

osoby

Jean Genet (wyrzeknij się psa, wilku)		80
Keith Jarrett	81	
Leonard Cohen	82	
Słowacki powiedziałby	83	
Jean Michel Jarre	84	
list Księcia Józefa do Króla Polski		85

oczy Ariadny

3. *** (<i>tej nocy odkryłem ciebie...</i>)		87
4. (ręka IV)	88	
9. (o słowie które nie zapomni)		89
13. (oczy ariadny)	90	
14. (ojciec)	91	
15. (złoty stożek)	92	

Zuzanna

kat (II)	94	
*** (nigdy nie widziałem jej przytomnej...)		95
Zuzanno nie jedź do Ameryki	96	
modlitwa o Zuzannę	97	

tu mieszkam

„od autora”	100	
wiersz o miłości	101	

trakt do Wrzeszcza	102
Wrzeszcz nad ranem	107
list do... (projekt)	108
pieśń wilków	109
będzie wojna	110
głód	111
poza wierszem do Marianny B.	114

PUŁAPKA

(1989)

pułapka

*** (<i>nie odgadłem twojego wieku</i>)	117
*** (<i>kiedy mężczyzna mówi kobiecie</i>)	118
Kiedy mężczyzna wchodzi w kobietę (według Anne Sexton)	119
*** (<i>mogę to zrobić</i>)	120
*** (<i>więc tak mało!...</i>)	121
Ręce (według Anne Sexton)	122
*** (<i>o módl się Elis</i>)	123
*** (<i>to prawda że zazdroścę Panu Bogu...</i>)	124
*** (<i>mam tyle stron...</i>)	125
Odwaga (według Anne Sexton)	126
*** (<i>tak udawaliśmy że...</i>)	128
*** (<i>już śpię śpisz...</i>)	129
*** (erotyk)	130
*** (<i>w tym bajecznym supersamie...</i>)	131
Dzieci (wg A. Sexton)	132
Węzeł (replika na wiersz Anne Sexton „Kiedy mężczyzna wchodzi w kobietę”)	134
*** (<i>jesteś tak przezroczysta...</i>)	135
*** (<i>my nie jesteśmy samotni...</i>)	136
*** (<i>ty jesteś za Bogiem...</i>)	137
pułapka	138
*** (<i>nienawidzę mojej płci...</i>)	143
Nie tak. Nie tak (według Anne Sexton)	144

Szaleństwo (według Anne Sexton)	145
Sztuka (według Anne Sexton)	146
*** (moja córka)	147
*** (sen)	148
Poeta nieświadomości (według Anne Sexton)	149

Ameryko, Ameryko

do S. R.	152
Cincinnati 12 lipca 1983 roku	153
*** (<i>czas tu się rozwinął do ptasich rozmiarów...</i>)	154
balon światła	155
*** (<i>nie mogłem wiedzieć że upał to wymiar tego kraju...</i>)	156
modlitwa amerykańska	157
Newport	159
małe samopoczucie w małym miasteczku	161
noc ustępuje	162

CZTERY TEMATY

(1991)

krab	164
to	165
wieczór	166
żeglowanie	167
ćma	168
piękne ptaki	169
ograniczenie	170
parasol	171
dwoje? pojedynczo?	172
słyszę twój głos na poduszkach	173

dwa skrzydła	
dwa skrzydła	175
krótkie pożegnanie Elis	176
pytanie retoryczne do Elis	177

dziękuje tobie Elis	178
Elis Niespodzianka	179
Elis, tam	180
Elis mgła	181
O Elis	182

PESTKI, KORALE - SŁOWA DO NAWLEKANIA (1998)

Śmierć Amazonki	184
Nie pytaj mnie o chorobę	187
Samotność	189
Wędrowiec z Krainy Do	190
Anne Sexton z pomarańczą	191
Ta kobieta ma na imię Gdańsk	193
*** (<i>Widziałem dzisiaj spadającą gwiazdę...</i>)	198
Nasze dzieci	199
Shoshannah	200
Do mojej córki chodzącej ulicami Cincinnati	201
Nitka	202
Sfinks, który mówi	203
Lecz ja jestem okręt	204
Jasność ćmy	205
Moje długie ręce	206
Pragnienia	207
Małe słowo	208
Jabłko	209
Kropla	210
Skąd ten ptak nocą gra	211

Władysław Zawistowski

Tajemnica Szekspira, czyli 9 razy o Zbigniewie Joachimiaku

213